7 DNI
CENA 50 GR
TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



1920
1930

ZDZISŁAW KOWALEWSKI.

Bitwa warszawska

Bitwa warszawska, to kulminacyjna faza wojny polsko-rosyjskiej 1919-20 roku. Rezultaty jej zadecydowały o losach całej kampanji. Stąd też w czasie walk nad brzegami Wisły napięcie wszystkich rozporządzalnych sił po obu stronach doszło do najwyższego stopnia.

Polska utrwaliła już swoje granice zachodnie i południowo-wschodnie. Armja, która w zwycięskim pochodzie dotarła do granic, wykreślonych ongiś przez Jagiellonów, stała wiosną 1920 roku u brzegów Dźwiny, Berezyny i Dniepru.

Rosja, zajęta walkami wewnętrznemi, traktowała dotychczas swój front zachodni drugoplanowo. Po pokonaniu generałów kontrrewolucyjnych, zwróciła się przeciwko Polsce, widząc w jej zdobyciu nietylko pełne zaspokojenie instynktów zaborczości, odziedziczonych po caracie, lecz przedewszystkiem pierwszy etap do przeniesienia pożaru idej komunistycznych na całą Europę.

Naczelne dowództwo wojsk polskich, chcąc uprzedzić spodziewaną ofensywę sowiecką, uderzyło na Ukrainę, zamierzając rozbić domniemaną koncentrację nieprzyjaciela. Jednakże, wbrew wszystkim przypuszczeniom, opartym na kalkulacji czasu, przestrzeni i sił materjalnych, Rosja zdecydowała przeprowadzić swój najazd szlakiem historycznym, wiodącym od północy przez bramę smoleńską, wprost ku Warszawie.

Pod potwornem uderzeniem zmasowanych armij Tuhaczewskiego pęka nasz front na Berezynie, a pojawienie się jazdy Budiennego na południu nie pozwala zekonomizować sił polskich i przerzucić poważniejszych rezerw na główny teatr wojny.

I oto, począwszy od pierwszych dni lipca, linja działań bojowych poczyna zbliżać się coraz bardziej ku sercu Polski — Warszawie. Zawodzą wszelkie próby wydarcia z rąk wroga inicjatywy i po upadku linji Bugu i Narwi ze „stolicą strategiczną Polski" — Brześciem, staje się jasnem, że decydująca walka musi się rozegrać w bezpośredniej bliskości stolicy.

Naczelny wódz, Józef Piłsudski, nie traci, ani na chwilę hartu ducha i wiary w zwycięstwo. Powstała pod Jego przewodnictwem Rada Obrony Państwa, rzuca hasło: Wszyscy i wszystko na front! Akcja ta osiągnęła dość poważne rezultaty, wyrażające się w doprowadzeniu do wymęczonych szeregów jednostek linjowych, zastępów ochotniczych, uzupełnienia braków w uzbrojeniu, umundurowaniu i wyekwipowaniu, a przedewszystkiem w podniesieniu nastrojów w społeczeństwie. Ustaliwszy w ten sposób grunt, Marszałek Piłsudski przystępuje do powzięcia planu, mającego rozstrzygnąć o dalszych losach wojny, a tem samem Polski.

W noc z 5 na 6 sierpnia 1920 roku, „nie na jakiejś naradzie, ale w samotnym pokoju w Belwederze" *) wypracował z nadludzkim wysiłkiem decyzję „walnej bitwy pod Warszawą" **). Zasadniczemi punktami tego wiekopomnego rozkazu jest „rozgraniczenie organizacji frontu i jego zadań", ***) oraz idea manewru zaczepnego, który miał spaść z południa na tyły i flankę armij rosyjskich, osaczając nieprzyjaciela, zajętego szturmowaniem Warszawy.

*) Józef Piłsudski: „Rok 1920", wyd. II.



Pokój, w którym zapadła decyzja kontrofensywy w r. 1920.

A zatem: front cały dzieli się na trzy grupy armij: a) front północny pod dowództwem generała Józefa Hallera, rozciąga się wzdłuż Wisły od granicy pruskiej, aż po Dęblin. Zadanie: stanowcze zatrzymanie przeciwnika, obrona zajmowanej linji, a przedewszystkiem — Warszawy.

Ze względu na konieczność utrzymania w swem ręku stolicy, Naczelny Wódz śle na przedmieście warszawskie znaczną większość swoich sił, wspierając je wydatnie artylerją i broniami technicznemi. Załoga ma „odbić krwawo spodziewane ataki nieprzyjaciela" ****) i nie dopuścić do sforsowania Wisły.

b) Front południowy biegnie wzdłuż rzeki Wieprza. Stąd ma wyruszyć decydujące przeciwnatarcie polskie, skierowane na północ i ugodzić we flankę armij Tuhaczewskiego, skierowanych na zachód, na Warszawę.

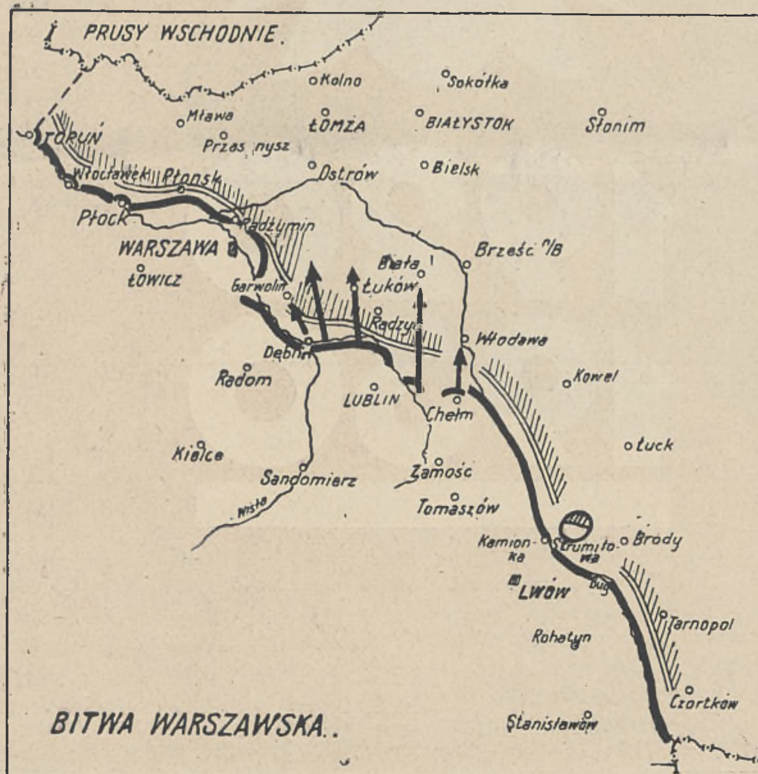
Marszałek Piłsudski, chcąc temu działaniu zapewnić najwięcej impetu i energji, staje sam na czele oddziałów III i IV armji polskiej, t. j. 14 D.P., 16 D.P. i 21 D.P., 1 D.P. Leg., 3 D.P. Leg., wraz z 4 brygadą jazdy.

c) Front południowy zajmuje resztę bojowiska, opierając się prawem skrzydłem o granicę rumuńską. Jego dowódca, generał Iwaszkiewicz, ma związać armję Budiennego i XII armję sowiecką, nie dopuszczając ich do zajęcia Lwowa i zagłębia borysławskiego.

Niezłomna wola wodza, oraz poruszone już poprzednio czynniki natury moralnej, ożywiające wojsko polskie i cały naród, pozwoliło na całkowite zrealizowanie tego planu.

Armje Tuhaczewskiego kierowały się w ciężkich zmaganiach z bohaterską załogą przedmieścia stolicy, która dokonywała cudów waleczności, by nie zawieść pokładanych w niej nadziei i spełnić otrzymany rozkaz.

W chwili, gdy wróg zczepił się wściekle na polach Radzymina, pod Zegrzem, Modlinem i Osowcem z dzielnymi obrońcami honoru i wolności Ojczyzny, z nad Wieprza ruszyła, o świcie dnia 16 sierpnia, armja uderzeniowa. Niepowstrzymaną lawiną zdruzgotała napotkane oddziały rosyjskie, osłaniając wojska Tuhaczewskiego od południa i żelaznym klinem swoich zwycięskich bag-



Plan sytuacyjny bitwy warszawskiej.

**) Józef Piłsudski: „Rok 1920", wyd. II.
***) Józef Piłsudski: „Rok 1920", wyd. II.
****) Józef Piłsudski: „Rok 1920", wyd. II.

(Dokończenie na str. 16-ej).

TADEUSZ TESLAR.

Groźne pociski komunistycznej propagandy podczas wojny polsko-rosyjskiej 1920 roku



Któżby mógł przewidzieć, że i na Trockiego przyjdzie koniec.

Polska, walcząc w śmiertelnym wysiłku z wojskami Rosji sowieckiej w latach 1919 i 1920 — miała przed sobą trzy główne cele.

Były niemi: wywalczenie z bronią w ręku niepodległości państwowej, zabezpieczonej granicami; wyzwolenie z pod jarzma bolszewickiego związanych z Polską historycznie narodów ukraińskiego i białoruskiego oraz trzeci cel — unicestwienie zakusów międzynarodówki komunistycznej w Moskwie, prącej do wywołania w Polsce i w państwach zachodniej Europy rewolucji polityczno-socjalnej pod sztandarem „dyktatury proletarjatu".

Żołnierz Rzeczypospolitej Polskiej, pod wodzą Józefa Piłsudskiego, wszystkie te cele osiągnął, pieczętując to obficie przelaną krwią własną. Niestety, los zrządził inaczej co do wyzwolenia narodów bratnich ziemi ukraińskiej i białoruskiej.

Myślą przewodnią naszych rozważań będzie arcyważne zagadnienie, dotyczące walki polskiej przeciwko imperjalizmowi komunizmu. Zazwyczaj — zwracano głównie uwagę na fakt militarnego pokonania Rosji sowieckiej w ostatniej wojnie. Bezsprzecznie, jest to jeden z najważniejszych momentów historji współczesnej Polski, a nawet Europy. Natomiast zupełnie niesłusznie ronimy z naszej pamięci niesłychanie doniosły fakt pokonania ideologji i systemu komunistycznego przez ideologję narodową Polski, przez wysokie poczucie miłości Ojczyzny i zrozumienia dążeń demokracji.

Należałoby więc dziś, z okazji dziesięciolecia zwycięstwa polskiego oręża, wyraźnie powiedzieć, że żołnierz polski pokonał już, już tryumfujący w Europie bolszewizm. Państwo Polskie stało się nie tyle barjerą przeciw bolszewizmowi i dyktaturze proletarjatu dla państw europejskich, lecz jednocześnie czynnikiem pokonania i zahamowania realizowanego już programu polityczno-socjalnego III międzynarodówki komunistycznej w Moskwie. Należy sobie jasno zdać sprawę, że jeśliby nie Polska, idea *Paneuropy demokratycznej*, dzisiaj zresztą problematycznie rozpatrywana, byłaby wyprzedzona faktem dokonanym, przez utworzenie przez Rosję sowiecką i pod jej wyłączną egidą — „*Paneuropy komunistycznej*". Europa wraz z Polską przeżywałaby niechybnie te same tragedje i wstręty, jakie dzisiaj są codziennym chlebem społeczeństwa w Sowietach. Właśnie sprawcą tego zwycięstwa nad bolszewizmem jest bezsprzecznie bohaterski żołnierz polski.

A jednak zwycięstwo to nie przyszło nam łatwo. Bo oto rząd sowiecki, jego dyplomacja, dalej dowództwo wojsk czerwonych i kierownictwo partji komunistycznej potrafiły, właśnie w okresie najcięższych i najtragiczniejszych naszych zmagań bojowych, znaleźć potężnych, choć wówczas niezbyt przewidujących sprzymierzeńców obcych ze sfer politycznych i socjalnych. Właśnie tym to zagadnieniom pragniemy dzisiaj poświęcić kilka uwag krytycznych.

Wszyscy pamiętamy, jak to właśnie doszło do wojny polsko-rosyjskiej w 1919 r. Bolszewicy, posuwając się śladem uchodzących wojsk niemieckich z ziem, podczas wojny światowej okupowanych, dążyli do zajęcia terenów, coraz to bardziej na za-

(Dokończenie na str. 16-ej).



Cały naród, najmłodsi nawet, wszyscy pod bronią!



Nie damy stolicy!... (plakat z r. 1920).

JAN IGNACY TARG.

Warszawa w obliczu wroga

Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani?...

Dziwne uczucie ogarnęło mną, gdy na rozkaz przełożonych musiałem się udać do Warszawy. Choć z żalem rozstawałem się z kompanją, to jednak ciekawość i tęsknota gnały mnie, jak nigdy dotąd, w stronę stolicy. Miałem okazję ujrzeć od strony „tyłów" nastrój zagrożonego najazdem miasta. Interesowało mnie w owej chwili, co czuje i myśli Warszawa, jak przyjmie coraz smutniejsze wieści ze zbliżającego się frontu, jak reaguje na klęskę, która tak rychło miała się zamienić w walne zwycięstwo.



Oddziały jeńców, świadczące o opanowaniu sytuacji.



Sypanie okopów przy udziale ludności cywilnej

Z trudem zdobyłem sobie miejsce w natłoczonym pociągu. Tematem rozmów—oczywiście wojna. Zrozumiałe.

Godziny jazdy dłużyły mi się niepomiernie. Nie miałem najmniejszej ochoty wdawać się w jakiekolwiek i z kimkolwiek pogawędki. Zresztą nam, żołnierzom, mówić zakazano... Ten rozkaz wydawał mi się bardzo rozsądny i na czasie. Milczenie jest złotem. Pomny tej słusznej zasady całą swą uwagę skierowałem na treść „Żołnierza Polskiego", w którym czytałem:

„Od bohaterskiej armji, która dziś resztkami sił broni bram swej polskiej ojczyzny, zależy wszystko, cokolwiek się stanie. Trzeba wytrwać jeszcze miesiąc, jeszcze dwa miesiące, aby wniwecz obrócić szatański plan bolszewików.

Już cały naród zerwał się do walki, ale aby to wszystko zdążyło stanąć na froncie, wytrwać musicie wy, bohaterowie z pod Kijowa, Berezyny i Lwowa. Stać! Z wami jest cała Polska. Stać! Już idzie moc olbrzymia, aby was podeprzeć. Stać!"

Słowa te wlały mi wiele otuchy w serce i z tem większą ciekawością pragnąłem ujrzeć „Warszawę", do której się tak paliło wielu Baszkircom, Czuwaszom, Wotiakom...

Jeszcze kilka monotonnych taktów kół i wreszcie zaskrzypiały hamulce. Dworzec Wschodni! Na peronie ruch gorączkowy. Tam i z powrotem biegną żołnierze, oficerowie, żandarmi. Jakieś bagaże, kufry, paczki. *Wszystko na front!*

Minąłem Pragę, by niezadługo w komendzie miasta zameldować swoje przybycie. I nawet w tym, bez zastrzeżeń wojskowym „amcie", czuło się najwyraźniej „nastrój wojenny". Oficerowie dyscypliny w krótkich, urywanych zdaniach-rozkazach informowali o godzinach pobytu na mieście, o konieczności każdodziennego meldowania się i t. p., telefony nieustannym turkotem niepokoiły podoficerów służbowych, a gońcy, z uporem, godnym lepszej sprawy, wytupywali jakieś tępe melodje podkutem obuwiem.

Gwar, ruch, niepokój.

Wysłuchawszy „formułki" odprawy, przeznaczonej dla mnie, szurgnąłem nogami i... znalazłem się na ulicy.

Na pierwszy rzut oka Warszawa nie wydawała się być zmieniona, lecz w rzeczy samej dostrzec było można wiele zmian, zarówno w wyglądzie jak i w nastroju.





Straż obywatelska otrzymuje uzbrojenie (w środku).

Wślad za odwrotem... (u dołu).

Już na pierwszym rogu ulicy rzuciły mi się pod nogi, duże krwiste litery: *Czy ziemia polska nie pali ci stóp? Idź na front!* Słów tych nie wziąłem do siebie, aczkolwiek do linji bojowej dzieliło mnie wiele kilometrów. Rozgrzeszył mnie rozkaz.

Gdzie nie spojrzałem, wokół mnie — na murach, parkanach, domach, jaskrawe odezwy, płomienne hasła, barwne, może za barwne, afisze. Warszawa gorączkowo nawoływała swą młodzież do spełnienia obowiązku. Szła ona ochotnie, z radością i zapałem, choć nie zawsze świadoma czekającego ją zadania, ani trudów wojennych, ani przeciwności losu. Szła jednak przepojona ukochaniem ojczyzny, młodzieńczym porywem, wiarą. To potęgowało jej wartość.

Miałem szereg zleceń do biura Inspektoratu Armji Ochotniczej. Pałac Staszica w oblężeniu. Młodzi i starzy, uczniowie, studenci, robotnicy, przy żywej wymianie zdań ustawiają się w szereg ,czekając swej kolejki, celem zgłoszenia się do służby.

Przedzieram się przez ten zwarty gąszcz mężczyzn, półmężczyzn i prawie dzieci.

W pewnej chwili nawpół głośna rozmowa powstrzymała mnie na miejscu.

— Kazik, a co z metryką, czy chlorku nie znać?

— Cicho, Wac, — to nasza tajemnica, bo jak się wyda, to z płaczem przydzielą nas... ale do matki.

Nie mogłem pojąć, o co chodzi. Lecz za chwilę, gdzieś w zatajonych obrazach minionej a wczesnej młodości dojrzałem: cenzurę, mnóstwo niedostatecznych stopni, obawę przed karą, jakieś chemiczne doświadczenia z wywabianiem złych ocen, chlorek, jako błogosławiony środek i... zrozumiałem. Posłałem młodzieńcom pełne radości spojrzenie. Byliśmy sobie w tej chwili bardzo bliscy...

Szybko załatwiłem zlecone mi sprawy. Centralnemi ulicami dążyłem w stronę domu. Szerokim traktem Krakowskiego Przedmieścia sunęły wozy, pełne zatroskanych twarzy kobiet i wesołych dzieci. Bezdomni, wyparci ze swoich ojcowizn, szukali schronienia w stolicy, wywołując sobą ogólne współczucie. Stawali się punktem zainteresowań dotąd zawsze śpieszącej się ulicy. Nierzadko wywiązywała się rozmowa:

— A skąd wy, gospodarzu? — padło pytanie.

— Z pod Ostrołęki, panoczku. Przywędrowali my tyli świat, gnani czerwonym kogutem, zgliszczami, krwią — nieszczęściem! Posypały się drobne datki. Odszedłem.

Przy zbiegu ulicy Marszałkowskiej i Królewskiej dosłyszałem głos niewieści, jakby skierowany do mnie:

— Może pan głodny? Może czekolady, kawy, papierosów? Wszystko dla was *bezpłatnie*, żołnierze!

Stół, przy którym rolę gospodyń pełniły trzy wytworne panie, oblężony był przez wojskowych. Nawet spostrzegłem gońca, uprzednio spotkanego w komendzie miasta, który skwapliwie korzystał z uprzejmych zaprosin. Tym zawsze dobrze.

Brakiem apetytu, a nawet pewnym niesmakiem wymówiłem się od ulicznego poczęstunku. Panie były zgorszone. Nic na to jednak poradzić nie mogłem. Tego rodzaju „ofiarność" wydawała się o tyle bezpieczna, o ile jednocześnie w skutkach bardzo znikoma.

Uwagę moją od tych nieciekawych myśli oderwał krok żołnierski i za chwilę ujrzałem kompanję roześmianej, rozśpiewanej młodzieży, jakby na zabawę idącej:

Rzucano im kwiaty, mnóstwo kwiatów. Padły nawet słowa:

— Niech was kule omijają!

Odpowiedzieli piosenką:

„Za nami idzie hufiec niemały,
Wszystkie panny będą płakały,
Bo dwieście piąty—to armji kwiat,
Niechaj się zadziwi cały świat!..."
Miarowo bagnetów kołysze się łan,
Dziewczęta zerkają z za płota,
Z uśmiechem na ustach na krwawy nasz tan
Podąża piechota, piechota..."

Tak, młodzi entuzjaści! Panny już z pewnością gdzieś po kątach płaczą, za wami— kwiatami, a świat się dziwi, że jeszcze Polska nie zginęła...

Nie sądzonem mi jednak było tego dnia zobaczyć dom swój, rodzinę. Zatrzymał mnie niespodzianie patrol żandarmerji z wyraźnym rozkazem zameldowania się w Komendzie Miasta. Byłem zdziwiony, ale rozkaz — to rozkaz. Żołnierska rzecz nie myśleć, lecz słuchać.

Polecono mi, wraz z kilkoma policjantami udać się na miasto, celem dostarczenia pewnej ilości osób dla wykonywania robót ochronnych, budowania wałów, okopów, zasieków i t. p. Brak rąk do tej pracy postawił władze przed koniecznością przymusowego uzupełniania swoich kadr pozafrontowych. I bodajże wtedy po raz pierwszy padło w Polsce hasło: „Cały naród pod bronią".

Aczkolwiek czynność, którą mi powierzono, nie odpowiadała usposobieniu, to jednak świadom jej znaczenia, wykonywałem ochotnie.

Miałem odcinek ulic: Śliskiej, Twardej, Pańskiej i przyległych. Nasze pojawienie się w tych stronach wywołało popłoch. Gwałtownie zamykano sklepy, chowano się po bramach, domach, piwnicach. Zadanie miałem bardzo utrudnione. Często dochodziło do przykrych i pożałowania godnych incydentów. Pewne jednostki uchylały się od tej smutnej konieczności. Uważały to sobie za dyshonor i czyhanie na „wolność obywatelską". Nie wdawałem się w żadne dyskusje. Opór podniecał mnie do tem większej gorliwości. Uważałem, że skoro tam, na froncie, armja nasza ostatnim wysiłkiem powstrzymywała czerwoną nawałnicę, to „zasiedziali" w swych wygodach i zapatrzeni w swe małe kłopoty, różnego rodzaju panowie mogą choć w ten sposób spełnić swój obywatelski obowiązek.

— Proszę pański dowód osobisty,—zwróciłem się do jakiegoś miejskiego eleganta.

— Jest pan zatrzymany do dyspozycji władz wojskowych!

Słowa te oburzyły i zaskoczyły młodzieńca. Chciał oponować, skarżyć, protestować. Spojrzałem tylko pogardliwie z „wysokości" swoich zniszczonych butów na jego lakierki, dobrze skrojony garnitur i zaniechałem dalszej rozmowy. Wyobrażałem go już sobie z łopatą w ręce, gdzieś na przedpolu Warszawy. Stanowczo byłoby mu z tem do twarzy...

A kiedy szedłem w stronę dworca kolejki Mareckiej, z blisko 100 zdrowymi, dobrze wyglądającymi mężczyznami, towarzyszyło mi złorzeczenie i płacz niewieści. Nic w tych „scenach" nie było dramatycznego, prócz powszedniego ludzkiego egoizmu. Zresztą „moi panowie" rychło pogodzili się z losem. W ten sposób zapoznawali się zbliska ze skutkami działań wojennych.

W Warszawie „zabawiłem" jeszcze dwa dni. Nastrój stawał się coraz gorętszy. Ale czaiła się, gdzieś pod murami domów, w ustroniach mieszkań, w izbach na poddaszu wiara w ostateczny tryumf naszych wojsk. A tam, w czterech ścianach zamkniętego pokoju Naczelnego Wodza rodził się plan decydującej bitwy. Nikt o tem nie wiedział, ale przeczucie mówiło, że już niedługo stanie się coś, co wielkością swoją i ogromem będzie doniosłe w skutkach.

Warszawy nie damy — oto była dumna odpowiedź stolicy. *Varsovia semper heroica!*

Znowuż znalazłem się na dworcu. Pociąg, uwożąc mnie w stronę frontu, dygotał cały od krzepkiego śpiewu:

Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani,
Że na ciebie idą chłopcy malowani...

Rewje wojskowe

15 sierpień. Święto Zwycięstwa. Święto Żołnierza Polskiego. Wszędzie, gdzie istnieją garnizony czy obozy, wyrosną głębokie czworoboki wojska, zagrają trąby, załopocą chorągwie. Wszystko, co żyje, pobiegnie patrzeć na tego Żołnierza, co to Polskę, zaledwie zmartwychwstałą, od powtórnej ocalił niewoli. I tu nasuwa się mimowoli pytanie: dlaczego wszystkie przeglądy i parady wojskowe są u nas tak mało efektowne, mało podniosłe, mało dekoracyjne? Dlaczego odbywają się zawsze według jednego utartego szablonu? Dlaczego są monotonne? Dlaczego żołnierz nasz, wyglądający dziarsko i pięknie mimo nietwarzowego stroju, jest prezentowany ludności w sposób najmniej efektowny? Pod tym względem zło leży już wsamym regulaminie: zakaz sprawiania szyków rozwinętych dla defilad, zakaz nakładania bagnetów, umieszczenie dowódców plutonów wewnątrz kolumny (porucznicy maszerują w czwórkach i zasłonięci są przez szeregowych), chorągwie, idące w szeregu, zamiast w osobnych pocztach, i t. d.





Jedyny punkt malowniczy warszawskich rewji: orkiestra 1-go pułku szwoleżerów. U góry — skromny szyk paradny.

Oczywiście, armja nasza jest armią demokratyczną. Oczywiście, ćwiczenie „parademarszu" nie licuje dziś z duchem epoki. Oczywiście, karabin z bagnetem waży więcej, niż bez bagnetu. Ale czy nie za wiele w tem wszystkiem przesady?

Lud pragnie widzieć swoje wojsko i cieszyć się niem. Żołnierz pragnie zawsze prezentować się jaknajlepiej. Podniosłe, silne wrażenie z rewji, to najlepsza propaganda dla armji. To najlepsza szkoła patrjotyzmu. Widok defilujących wojsk powinien porywać widzów, budzić w nich entuzjazm i radość, a nie nużyć i rozżalać.

Nie wiem — jak dobrze defilująca piechota — nie da w kolumnie czwórkowej wrażenia siły i sprawności, któremi wiać powinno od maszerujących kolumn. Długi wąż wlec się będzie tylko — męcząc widza monotonnością.

Idąca stępa kawalerja wygląda przygnębiająco, a wysiłek jeźdźców skierowany jest na pohamowanie koni. Artylerja, defilująca w kolumnie marszowej, działa i jaszcze — wprost nuży. Widz ma wrażenie, że patrzy na pociąg towarowy.

Do tego nasze orkiestry wojskowe rzadko kiedy stoją na wysokości zadania. I tu winna jest ustawa, przewidująca zbyt krótkie terminy dla muzykantów kontraktowych. W rezultacie zespoły nie są zgrane, uczniowie rzępolą, piękne trąby fanfarowe rdzewieją w magazynach, a dźwięków marsza nie słychać już o kilkadziesiąt metrów od orkiestry.

Pomijam sprawę umundurowania. Nie stać nas w tej chwili na mundury paradne, hełmy, kołpaki. Ale dlaczego w przesadnej obawie przed teatralnością, reżyserja naszych rewji oddala systematycznie wszystkie efekty wzrokowe? Dlaczego poprzestaje na utartym systemie najmniej dla oka miłym? Dlaczego nie prezentuje żołnierza tak, jakby on sam tego pragnął? Więc przedewszystkiem rewje wojskowe w stolicy winny się z reguły odbywać na polu wyścigowem. Niewielkim kosztem można na nie sprowadzić oddziały okoliczne z Modlina, Nowego Dworu, Jabłonny, Mińska, Garwolina. Publiczność miast tłoczyć się na wąskim skrawku chodnika, winna mieć przystęp jaknajszerszy.

Hymn Narodowy uderzają wszystkie orkiestry jednocześnie, a nie jak dotychczas, „samodzielnie" (drąc uszy niemiłą kako-



W Paryżu 14 lipca defilowała po ulicach armja francuska w mundurach z przed stu lat.

fonją i obniżając nastrój tak podniosłej chwili. Marsz do defilady musi być marszem w całem tego słowa znaczeniu. Żołnierz winien, sułchając go—dostać skrzydeł. Przytem takt marsza musi być słychać na taką odległość, aby oddziały nie chwytały kroku w ostatniej chwili, co zawsze odbija się niekorzystnie na wyglądzie defilady.

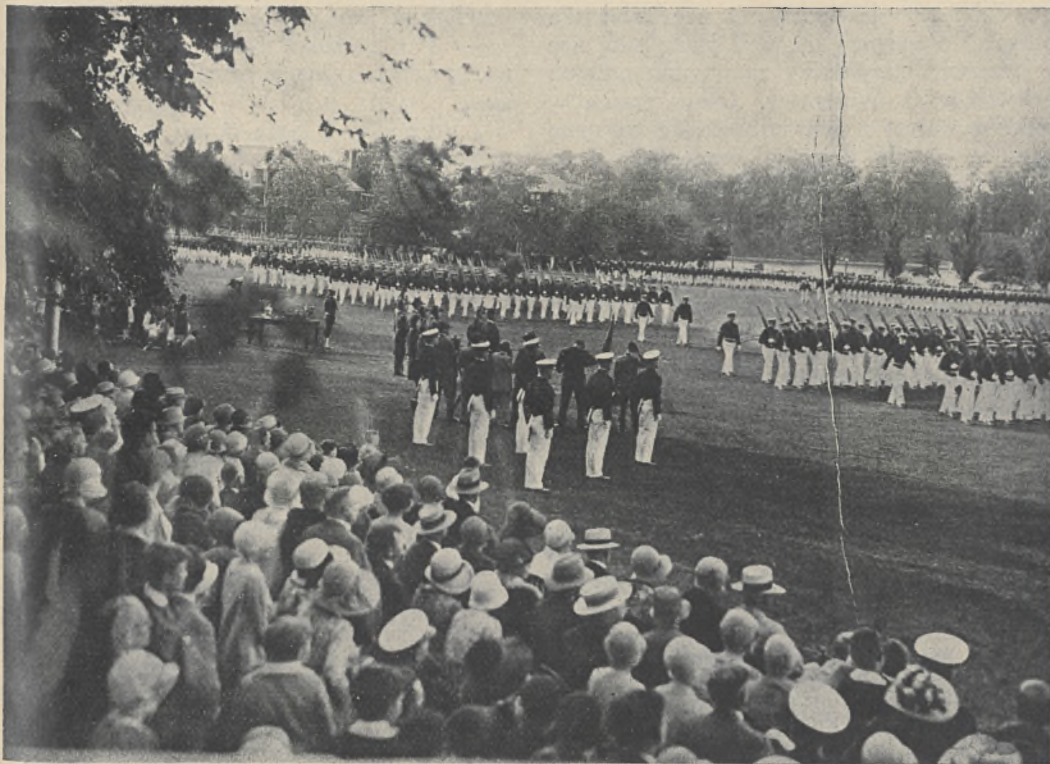
Piechota musi defilować w kolumnie plutonowej. Szyk ten sprawia się dziś dla zbiórki, dlaczegóż więc nie sprawić go dla defilady. Wystarczy — przy zapale naszego żołnierza — przećwiczyć dwukrotnie przed uroczystością.

Legenda o wadze bagnetu jest nonsensem. W całym szeregu armji (francuskiej, rosyjskiej, włoskiej) defiluje się z bagnetem na broni. Od tego jeszcze nikt nie umarł. Szeregi piechoty, najeżone bagnetami, wyglądają zaraz inaczej — więcej dziarsko i bojowo. Dlaczegóż to bagnet — szlachetna broń piechura — ma służyć tylko do konwojowania więźniów i strzeżenia budynków... w nocy?

przemarszu. Inaczej hałas motorów wprowadza rozgardjasz, głuszy muzykę, płoszy konie, odwraca uwagę. Brawurowe ewolucje denerwują widzów, mącą uroczysty nastrój. Natomiast po defiladzie ewolucje takie są pożądane i z całą pewnością uczynią większe wrażenie, niż wtedy, kiedy oko ma zbyt wiele do roboty.

Jeszcze słówko o przysposobieniu wojskowem. Niektóre jego oddziały prezentują się doskonale. Ale niektóre nie są jeszcze dostatecznie przygotowane do defilady. Oglądanie zmęczonych, „speszonych", gubiących krok chłopców nie należy do rzeczy miłych. Mimowoli czyni się żal tych młodych, pełnych zapału rycerzyków, których niedoświadczeni prowodyrzy zbyt wcześnie wyciągają na forum publiczne. Z tem trzeba więc ostrożnie.

Stanowczo też należy zastrzec się przeciw braniu czynnego udziału organizacyj kobiecych w defiladach czysto wojskowych. Ze wskazanych wyżej przyczyn, a także ze względu na powagę uroczystości. Można być pełnym czci dla kobiety—Polki, ale właśnie dlatego uważać, że miejsce młodych dziewcząt nie jest między szeregami wojska. Pamiętam jedną taką defiladę sanitarjuszek i muszę z bólem stwierdzić, że uczyniła wrażenie wręcz groteskowe. *Du sublime au ridicule* — jeden krok tylko.



Głębokie szeregi piechoty czynią wrażenie piorunujące. (Defilada kadetów amerykańskich).

Że defilada w szyku rozwiniętym jest możliwa bez żadnych trudności, świad czy choćby dziarska postawa kompanji karabinów maszynowych, ze względu na konieczność techniczną defilujących dziś w kolumnie zdwojonej. To też kompanje te cieszą się zwykle gromkim aplauzem, z krzywdą pozostałych oddziałów, którym bezlitosny regulamin nakazuje marsz czwórkowy.

Artylerja winna bezwarunkowo defilować baterjami — kłusem. Konna — galopem. Widzieliśmy już taką defiladę — kilka lat temu — i trybuny aż trzęsły się z uniesienia na widok pędzących armat.

Konnica defiluje plutonami, kłusa. Na zakończenie — punkt kulminacyjny uroczystości — szarża przed trybunami. Samochody pancerne i czołgi mają zająć miejsce dzisiejszej piechoty — defilując czwórkami.

Samoloty dopiero po ukończonym

Kto wyczuje dreszcz, wstrząsający trybunami, w chwili, gdy, jak stado mew, spada na nie galopem orkiestra szwoleżerów, kto usłyszy oklaski, bite raz jeden tylko — konnej policji, podobnej w grzebieniastych hełmach do rzymskich rycerzy,—ten nie powie już, że strona dekoracyjna i reżyserska rewji to szopka. A cóż dopiero, gdy się ujrzy w Paryżu szarżujących na trybuny spahis'ów lub kirasjerów, albo w Rzymie kompanje balonowe, defilujące z uwiązaną na kablu „kiełbasą", w której koszu dwóch oficerów zamaszyście salutuje następcy tronu.

Niechże słońce zagra śmiało na zwycięzkich hełmach i bagnetach. Niech trąby uderzą w rytm tak porywający, aby ci, co na trybunach, usiedzieć nie mogli. Niech jęczy ziemia pod stopami głębokich szeregów. Niech rumaki jazdy i artylerji przestaną niecierpliwie gryźć wędzidła. Niech łopocą wesoło chorągwie i sztandary. Niech się wyciągną ku niebu długie lufy armat. I niech od całości powieje siłą, rozmachem, radością i chwałą.

Wówczas dopiero lud zrozumie, czem jest dla kraju — Armja.

J. G.

Na pierwszej warcie

Jestem jednym z najskromniejszych ludzi na świecie. I dlatego wcale nie chcę tu mówić o tem, jak to było ze mną w czasie mej pierwszej dla mnie służby wartowniczej w życiu. Nie dlatego, żeby opis tej nocy, w czasie której odbywałem niczem don Kiszot straż przy kuchni polowej, czy taborze naszego szwadronu, miał być pozbawiony grozy, czy pełnego tajemnic mroku... Przeciwnie, była to noc ciemna i chmurna, a choć nieprzyjaciela nie było jeszcze w pobliżu, oczami imaginacji dojrzeć go było można z pewnością. Nie, słodycz tej opowieści zostawiam sobie na kiedyindziej, teraz zaś wolę być, jak się rzekło, skromnym i, skoro mowa o tak ważnej rzeczy, jak służba wartownicza, objektywnym, a objektywizm ten będzie jedynie możliwym, gdyż mówić będziemy nie o sobie, a o kimś; gdy — tym kimś będzie w dodatku zamazany jakiś rekrut, my zaś na poczynania tego rekruta patrzeć będziemy z wyższością starego już żołnierza, któremu warta, nawet warta nocna, nie jest już pierwszyzną.

Na wstępie zaznaczyć muszę, że nie będzie tu ani słowa o regulaminie służby wewnętrznej. Nie będziemy tu mówić nic o ważności służby wartowniczej, o jej zasadach wkuwanych dziś w spokojnych naszych rekrutów. Przeciwnie, my rzecz ujmiemy od innej strony, mimo całego na jaki nas stać objektywizmu spojrzymy na rzecz od strony wrażeń, pójdziemy z garnizonu na wojnę, w wyborze tematu cofniemy się o lat kilkanaście wstecz do epoki naszego romantyzmu wojennego.

Jesteśmy więc w chwili, o której mowa, w lesie na Wołyniu. Znaleźliśmy się na odcinku, obsadzonym przez ułanów. To trudno, kochamy wszyscy piechotę, uznajemy w niej królowę broni, ale wiemy to przecież dobrze, że w czasie rewji wojskowej burza oklasków zrywa się od tłumu publiczności wówczas dopiero, gdy tłum ten dojrzy z poza szeregów defilujących piechoty łby końskie, roześmiane gęby ułanów i łopocące na wietrze proporczyki lanc.

Tak więc jesteśmy u ułanów. Niechaj to będzie stwierdzeniem, że owego czasu ułani potrafili nietylko jeździć na patrole i szarżować, nietylko przebijać osłonę nieprzyjacielską i osłaniać, kiedy na to przyszło, odwroty, ale — potrafili również, gdy właśnie front się ustalił, zostawiać pod strażą kolegów swój skarb największy — konie, samym zaś iść na równi z piechotą na odcinek okopów, zasiąść tam w śniegu, błocie, czy choćby tylko w piasku, walczyć, czy choćby tylko odcinek ten trzymać pazurami, jak na ułana przystało, który, jak to wiadomo, nie łatwo odda to, co raz w garść wziął, że choć przepadło!

I jesteśmy — w rezerwie. Może czytelnicy woleliby, żeby to było w pierwszej linji ognia, wśród trzasku karabinów, wśród huku pękających granatów, pod oślepiającem światłem rakiet. Pomówimy o tem innym razem, dziś — zostańmy jednak w rezerwie. Nie jest tam przecież znów tak źle, a zresztą tam przecież do rezerwy, prędzej trafi, niż do pierwszej linji, ów rekrut, o którym mowa, z uzupełnienia przysłanego niedawno z głębokich tyłów na front, tu łacniej — okiem, jak się rzekło, starego żołnierza przyłapiemy go na gorącym uczynku pierwszych, bezpośrednich jeszcze wrażeń wojennych, kiedy to, przyjechawszy w pole wprost, jak się to mówi od mamy, otwiera on dopiero naprawdę oczy i uszy.

Jesteśmy więc w rezerwie. Cały garujesz się w ziemiance. Jeśli wyłazisz z pod koca, to tylko dlatego, że są takie przecież momenty, że to jest niezbędne, albo wypada ci iść do kuchni, albo po drwa do piecyka. W nocy, rzecz prosta, jakieś dwie godziny warty. Gdzieżby się bez warty noc żołnierska obeszła? Pamiętam jak dziś jedną taką noc w rezerwie. Dostaliśmy znów paru nowych ochotników z Warszawy. Jeden z nich w krótkim wprost z igły kożuszku, z ogromną szablicą — dar kolegów, pracowników jakiegoś banku, buty i ostrogi, słowem: konia tylko brak.

Ale, tu w okopach, koń rzecz zbyteczna, można więc śmiało ten drobny mankament darować. Idzie nasz nowy ułan w swych lśniących butach, z zabójczemi, czarnemi baczkami na pierwszą wartę, pierwszą wartę w życiu. Czy zrozumiecie to wy, wszyscy, pracownicy bankowi, wy wszyscy „cywile", którzy nigdy jeszcze nie byliście na warcie?

Jest wietrzna noc jesienna. Las sosnowy, ogromne wysokie drzewa chwieją się w górze koronami. Ognie palą, coraz buchną dymem, czy trzasną w niebo snopem złotych iskier. Smukłe, proste pnie drzew oświetlonych na czerwono. Nowy „ułan" wyłazi po schodkach za panem rozprowadzającym. Ledwie wylazł, już koło ucha jakaś zbłąkana kula bzyknie i o pień z trzaskiem potępieńczym uderzy. Ukłonisz się takiej kuli raz jeden i drugi i idziesz za panem kapralem.

— A karabin macie? — pyta kapral.

Dali ci już karabin, więc z dumą mówisz:

— Mam.

— Nabity?

Jeszcze z wieczora pokazali ci już, jak się nabija i zabezpiecza, więc mówisz:

— „Nabity".

Dochodzisz do pewnego miejsca w czarnej, jak smoła przestrzeni i nocy i mówią ci:

— Stańcie tu.

I już pan kapral jedyny człowiek, który w tej chwili obok was jest, czuwa, coś wie, i cóż wam może powiedzieć, zostawia was w taką straszną noc i chce odejść.

Drżącemi usty rzucacie za nim jakieś bezradne pytanie:

— „I co?..."

Ale panu rozprowadzającemu spać się nie chce: cóż on wam powiedzieć może? Może nie chcielibyście nawet powtórzyć tego nikomu, że w tę pamiętną dla was noc powiedział wam tylko:

— Nie bądźcież babą. Jakby coś tego, no, to wiecie... Macie przecież karabin w ręku...

I odchodzi. I może doleci was najwyżej pogardliwe:

— I jeszcze ułan...

Albo tylko ziewnięcie i trask gałęzi. Za chwilę tylko las, szum wichru, ciemności, górą cichy jęk zbłąkanej kuli. Wpatrujecie się w czerń, otaczającą was i w tej chwili, zaręczam wam, widzicie wszystko, co tylko oczy ludzkie zobaczyć mogą: i skradające się tłumy Moskali i dobre ręce waszej biednej matki i słodkie oczy waszej ukochanej. Nic z tego niema w istocie. Jesteście w rezerwie „spokojnego" odcinka. Nikt do was nie przyjdzie.

Takiej nocy nad ranem zbudził mię mój kapral Franek:

— Karolek, wyłaź. Zaspałem trochę, czy co. Trzeba zmienić nowego, ze 4 godziny już stoi.

Idziemy. Jest nam trochę nieprzyjemnie obu. Trochę zadużo, jak na początek szkoły. Już szarzeje: w miejscu określonem czerni się posąg naszego „nowego". Rzekłbyś—Hamlet, królewicz duński, czy może lord Byron. On czuwa z nogą wprzód wysuniętą, z karabinem na gotuj broń.

— Stój. kto idzie? — rzuca Hamlet w las, trochę ściśniętem gardłem.

To brzmi groźnie.

Ale w odpowiedzi pada:

— Nie drzyjcie się. To my, zmiana.

WŁADYSŁAW LUDWIK EVERT. *Z CYKLU „KREW I SZPADA")*

BATERJA W OGNIU

(Kolegom i braciom kanonierom II-ej baterji poświęcam)

„Baterja baczność, do strzału działo",
(Jak słodko wieje ze skoszonych pól...
w oddali mocniej załomotało...
nie ujdziesz, jucho, z pod naszych kul).

„Poprawka dziesięć... — cztery tysiące..."
(łomocze w piersiach... pot zwilżył skroń...)
za chwilę białe obłoczki rwące,
pruć poczną w górze nawisłą toń.

Każdą myśl własną dawno rozwiało;
duch spokorniały w omdleniu klęknął.
cały mój rozum: — nabijać działo,
a twój: — podawać pocisk do rąk.

„Baterja — ognia!" Świat w otchłań leci...
życie — to pocisk, działo i jaszcz;
czyn porwał duszę w stalowe sieci...
nic — oprócz ognia z spiżowych paszcz.

Zamkowy upadł! — skacze przez działo,
wyrywam korbę z skrzywionych rąk:
teraz Twój rozum nabijać działo,
a mój: słać pocisk w ognisty krąg.

Słuchaj: czy mi się tylko zdawało,
że gdzieś za nami jest jakiś świat?

Wszystko to kłamstwo: jest moje działo,
i był zamkowy — co teraz padł...

Jeśli ja padnę, to skocz przez ciało, —
odepchnij trupa, chwyć dźwig do rąk. —
zawsze ktoś musi nabijać działo,
a ktoś słać pocisk w wskazany krąg.

Baterjo moja — jasny śnie młodzieńczy,
ostatni szale mych więdnących lat...
Baterjo moja — myśl o tobie wieńczy
jasny, zuchwały, a taki młodzieńczy
mych marzeń świat.

Tak to jest blisko — a tak już daleko,
ten poryw siły — dział, bagnetu czar —
więc łza się głupia kręci pod powieką,
że tak to blisko, a tak już daleko, —
że spełzł splot wiar...

Partyjnej żadnej nie znali-m liberji —
my — kanonierzy drugiej baterji.

Baterjo moja — jasny śnie młodzieńczy,
ostatni szale mych więdnących lat... —
Baterjo moja — myśl o tobie wieńczy
jasny, zuchwały, a taki młodzieńczy
mych marzeń świat.

Obejmuję posterunek. Nasz nowy jest trochę zmarznięty, ale niezmiernie wesoły. Słyszę, jak szybko podąża za Frankiem. Dolatują przymilne wyrazy.

— To nic strasznego, taka warta. Ale powiedzcie, czy długo się tak zwykle stoi?

Trochę gniewnie brzmi teraz głos Franka:

— A nie macie to zegarka?

I znów przymilne słowa „nowego":

— Miałem, ale pożyczyłem koledze...

Więc tym razem już łagodniejsze:

— To zależy, dłużej, krócej, jak ilość ludzi. Naogół dłużą się z początku takie nocne godziny...

Tak to bywało ongiś, przed laty. Dziś jest już inaczej. Dziś w garnizonach panuje porządek, panuje punktualność co do minuty. Wówczas było inaczej.

I nasz nowy kolega napewno się w końcu nie gniewał o to, że przytrzymaliśmy go trochę za długo na tej pierwszej warcie. Gdy pobył z nami dłużej, gdy wrósł dobrze w nasze żywe, gorące koleżeństwo, gdy nieraz już ogrzał się przy wspólnym ogniu, łyknął ze wspólnej manierki, przespał się z którymś z kolegów pod jednym kocem, zrozumiał doskonale, że nawet pan kapral czasem zaspać może, a koledzy-ułani są przecie jakby rodziną.

Może czemś więcej, niż rodziną: są — małą Polską. *Karol Koźmiński.*

ANATOL MINKOWSKI.

Dziesięciolecie obrony Warszawy

Z pod Dźwiny i Berezyny, z ochronnych wód Polesia, uchodził żołnierz polski pod naporem bolszewickich sił. Krwią zdobyty teren, broniony zawzięcie, oddawany i powolnie zdobywany, zajmował wróg.

Jakby zamarłe, w spiekocie lipcowego bezwietrznego dnia szły nasze kolumny. Co pewien czas występował żołnierz z szeregów, aby się już do nich nie dołączyć, bo upadał z braku wody od popuchniętych nóg, od udaru słońca.

Zwierały się i rozwijały co i raz kolumny naszych wojsk, ale gdzieś tam, daleko, na Ukrainie tkwiące skrzydło sprawiało, że nie mogły z tyłów przybyć świeże oddziały, by stworzyć właściwą barjerę i zneutralizować ruch odwrotowy wojsk.

Kolumny z północy i wschodu zaczęły się przenikać, łamiąc nieraz więzy taktyczne. Wielkie przestrzenie, niedostateczna łączność i żar piekielny, żar słoneczny. Żołnierz coraz bardziej opadał z sił i zamierał, wsłuchany w ponurą melodję odwrotu. Bo w odwrocie wszystko jest inne; inaczej tętnią końskie kopyta, inaczej dudnią koła armat, inaczej rozlega się krok.

I wtedy, niezależnie od takiego czy innego znaczenia strategicznego — pewne, drogie sercu miejsca, stają się żagwią nowych sił i skupienia woli.

Wilno — strażnica wielkich tradycji, bastjon kultury zachodu, ukochane Jagiellońskie Wilno, przechodzi dn. 14 lipca w bolszewickie ręce. Być może, że szeregowy polski w 1920 r. nie czuł jeszcze i nie rozumiał, czem dla Polski jest Wilno, być może, że świadomość klęski, jaką była przejściowa choćby utrata Wilna, przenikał tylko do oficera, zajęcie jednak Wilna przez bolszewików jest tym gromem, które budzi uśpione w odwrotnym letargu szeregi.

I choć długo jeszcze trwa odwrót, choć lipcowe słońce zastępuje równie rozjarzone słońce sierpnia, choć coraz więcej opuchłych bosych stóp przemierza drogi od północy i wschodu, choć coraz częściej w przydrożnym rowie pada żołnierz zemdlony, znacznie bardziej krwawą staje się droga odwrotu. Jeśli trudno jest mówić o zorganizowanej obronie na szerszym froncie — coraz gęściej znaczyć możemy na mapie zawzięcie bronione przez większe lub mniejsze oddziały punkty oporu.

A cóż wtedy Warszawa. Kiedy przez zimę i wiosnę front był daleko, bardzo daleko, czy Warszawa była stolicą Państwa, będącego w wojnie, czy rozrzucone na olbrzymim froncie oddziały i oddziałki czuły, że stolica dzieli serdeczną myślą wraz z nami troski i niepokoje wojny.

Nie mówię o matkach, siostrach, o blizkich, o garstce opiekunek i opiekunów żołnierza na rubieżach Rzplitej, ale życie Warszawy, jej pisma, jej znakomici działacze i mężowie stanu czy potrafili związać ogół z wojną i myśli tego ogółu, w kierunku jego zbrojnego ramienia skierować? Twierdzę, że nie, że nawet tego zrobić nie próbowali.

Indyferentyzm stolicy dla wojska na froncie czuliśmy wszyscy, a że nie są to retrospektywne twierdzenia, powołać się muszę na wypowiedziane w styczniu 1921 r. słowa, do późniejszego d-cy Dywizji Ochotniczej, płk. Koca: „jeśli Warszawa, jeśli społeczeństwo nie potrafi nawiązać ścisłego kontaktu z żołnierzem na froncie — front może się załamać".

Jeśli temu zagadnieniu tyle poświęcam miejsca, to nie dla przykrych rekryminacji, ale, aby wysnuć tezę, że tak, jak potem zwycięstwo należy do całego narodu, tak i dni klęski były wynikiem rozmaitych czynników, składających się na życie narodu w czasie wojny.

Ale to było przedtem. W lecie 1920 r., na wieść o cofających się wojskach, Warszawa drgnęła u podstaw. Warszawa śródmieścia, Warszawa Woli i Pragi, cała wielka Warszawa po raz pierwszy może od dawnych bardzo czasów, a kto wie, czy w tej skali nie po raz pierwszy w dziejach, poruszyła się w swych wszystkich nawarstwieniach — odczuła tę wielką, ciążącą na niej, jako na stolicy, odpowiedzialność za losy wojny, za przyszłość, za zwycięstwo.

Wydobywając z siebie w czynie żołnierskim w myśli i w sercu swe najlepsze skarby, zadrgała jednym wielkim wspólnym tętnem wszystkich sił życiowych.

Spiesznie sformowane oddziały ochotnicze przybywają na front, w ich świeżym entuzjazmie, znużony, do cna wyczerpany żołnierz z dalekiego frontu odnajduje swoje walory, krzepnie na duchu i powraca do ofensywnej postawy.

Cała dywizja ochotnicza skutecznie zgęszcza front. Gorące słowa wiary i zachęty padają z ust, pism, naszych najlepszych mówców, artystów, którzy umieją dotrzeć do pierwszych szeregów i zagrzać strudzone serca. Duchowieństwo zanosi gorące modły i świeci pięknym przykładem. Cała Warszawa zamienia się w obóz walczący, a nawet nie w jednym zakątku tych, zwykle odrębnie żyjących dzielnic, odzywa się prawdziwie: „My z wami".

A dzieje się to i z tem twierdzeniem należy bezwzględnie zerwać, nie w prymitywnej obronie własnej skóry, a w poczuciu dziejowej odpowiedzialności, nawet nie tylko wobec Polski.

Ci, którzy o skórę drżeli, szybko znaleźli schronienie na zachodzie, a pewni mężowie stanu szykowali się do sformowania rządu w Poznaniu. Ale o tych nie warto nawet mówić. Warszawa, a z nią Polska cała, nie przeraziła się działalnością gorączkową rozlicznych międzynarodówek, które usiłowały zamknąć dowóz broni, amunicji i środków obrony.

Front, zwężony i zasilony ochotniczemi oddziałami, już począwszy od Bugu, stawia coraz większy opór, a choć nieprzyjaciel zagraża Płockowi i Toruniowi, a front stopniowo zbliża się do Warszawy, walki stają się coraz ostrzejsze, postawa wojsk coraz pewniejsza, a krwawa i zażarta bitwa pod Radzyminem zwiastuje bolszewikom, że zdobycie stolicy łatwem nie będzie.

A walkom od Bugu po Radzymin towarzyszy następująca decyzja Naczelnego Wodza:

„Przejść bez wytchnienia, bez podstawowej reorganizacji cofających się tyle setek kilometrów armji, do szybkiego i zdecydowanego natarcia, wykorzystać znacznie na wschód wysunięte prawe skrzydło i uderzyć na tyły nieprzyjacielskie".

Zamiast rozważnego i spokojnego planu cofnięcia się na linję Wisły i Sanu, przegrupowania, reorganizacji i t. p. — uderzenie niezwłoczne.

Z wycofanych pojedyńczych pułków z frontu sformowana zostaje grupa uderzeniowa pod osobistem dowództwem Naczelnego Wodza. W zwycięskim, gwałtownym pochodzie od Dęblina na północny-wschód plan nieprzyjacielski zostaje zdruzgotany. Nie tylko wysunięta pod Toruń i Płock armja bolszewicka, ale znajdujące się armje pod samą Warszawą zostają całkowicie zagrożone. Nieprzyjaciel zmuszony jest gwałtownie zwijać front, a postępujący jednocześnie napór bezpośredni naszych oddziałów na wschód i północo-wschód od Warszawy w ciągu krótkich paru dni dezorganizuje cały północny bolszewicki front.

Postępujące z zachodu na północ nasze wojska stwarzają kolejno zapory, które zmuszają nieprzyjaciela składać broń lub przejść na terytorjum Prus Wschodnich. Część tylko zaangażowanych bolszewickich sił przebija sobie drogę odwrotu.

Taką była ostateczna obrona Warszawy.

Naczelny Wódz czerpał elementy do swej decyzji w postawie Warszawy i w szybko do psychicznej równowagi doprowadzonym żołnierzu.

Warszawa swe wyzwolenie, a Polska całe swe dzisiejsze stanowisko w świecie zawdzięcza Naczelnemu Wodzowi. On jeden bowiem był w stanie, budując na moralnej sile całego narodu, powziąć decyzję, zawierającą całkowite ryzyko: „Być, albo nie być!"

ZYGMUNT KAWECKI

Feljeton naukowy

(Rzecz trudna do zilustrowania)



*

Zamiast *motta* — *dwa listy*.

List pierwszy:

JWielmożny Pan, chociaż Literat
Bruno Winawer
Warszawa
Kochbrun (skrót) —
Pierwszy mój uczony feljeton poświęcam Tobie
wyżej podpisany.

List drugi:

JWielmożny Pan chociaż Malarz
L .Chejfec.
Warszawa
Szampan (skrót) —
Przepraszam, że się zadałem w nieswoje rzeczy — ale pewien jestem, że gdy Szan. Redakcja „7 Dni" zdubluje Panu honorarjum, to ilustracja tego akademickiego feljetonu wypadnie trygonometrycznie.
Sługa powyższy.

*

Nie jestem specjalistą w żadnej praktycznej specjalności, ale lubię terminologję każdej dziedziny wiedzy, nauki i sztuki — o ile terminologja ta jest plastyczna, soczysta, dobrze brzmiąca i efektowna.

Z każdej gałązki naukowej, którą kiedyś obskubywałem, pozostały we mnie jakieś ulubione wiórki i okruchy.

Okruchy te — to albo jednostkowe słowa, albo zgrabne określenia, albo wybuchowe zdania.

Żeby zacząć przykładowo i popularnie, powiem, że z malarstwa przyholubiłem do siebie słowo: *akwatinta.*

Nie wiem nawet na pewno, czy takie jest w malarstwie, czy w grafice, ale *dobrze* mi jest — i *naukowo* mi jest — i *specjalistycznie* mi jest, kiedy palnę w towarzystwie,, resp. w feljetonie pisanym, wyraz:

akwatinta.

Z muzyki wyszczególniłem swoją protekcją określenie *„perdeudosi"* — które naogół wymawiają źle i nietaktownie.

Z kuchni łacińskiej wyłowiłem dla siebie słowo *„cali hypermanganicum"* — do którego mam zdecydowaną słabość — i dziwię się, że tak *fonogeniczne* słowo wymawiają tylko słudzy officinarum sanitatis (aptek), albo też ludzie chorobliwi i chorujący.

Kiedy byłem starszy, to znaczy przed obecnem odmłodzeniem, (którem mi wszyscy ćwikają w oczy) — lubiłem bardzo w miejscach publicznych, na balach, na ulicach, w cukierniach, restauracjach, wymawiać obce wyrazy tak głośno, aby je słyszały stojące opodal, nieznajome piękne kobiety, albo nieznajomi głupi mężczyźni.

Zdawało mi się wówczas, że się gienializuję osobiście, że zamieniam się w swój własny pomnik — że się (jednem słowem) bronzuję.

Tak, tak. Miałem słabość pysznić się encyklopedycznie i poliglotycznie.

Co chcecie? Nawet dzisiejszy i współczesny konduktor tramwajowy w Warszawie, ma, pomimo poważnych, krytycznych czasów — początki tej lekkomyślnej, inteligientniackiej choroby, gdyż zamiast pytać po prostu i logicznie: — Czy ma pan bilet? — pyta teatralnie: — Czy pan *posiada* bilet!

W tym właśnie czasowniku *„posiada"* — leży już tendencja do fasonu, do gracji, do kokieterji. Przecież słowo „ma", ani się nie myje *fonogenicznie* do słowa „posiada".

Otóż wracając do rzeczy... kiedy byłem starszy, potrafiłem bez zająknięcia wystrzelić całą mitraljazę przygotowanych zawczasu extrapowiedzeń.

*

Jednem ze specyficznych słów z dziedziny entologji, a może zoologji — było u mnie, już od *pierwszego* dzieciństwa (bo drugie zacznę — tylko patrzeć) słowo, które się rzadko nawet komu przyśniwa — to jest: *jamochłony.*

Jamochłony, to czort wie co jest — ale właśnie dlatego jest mi jakoś po *profesorsku* — i *entologicznie* na duchu, gdy mówię:

jamochłony.

O ile się na znakomitem i obrazowem tem słowie wyznaję, oznacza ono jestestwa żyjące, nito rośliny, nito zwierzątka, które to bestje nie mają nawet buzi do jedzenia — i przyrządu do strawienia tego, co się w nie dostanie — tylko pływają sobie w morzu z taką jakąś otwartą jamą w swoim ciałku — no — i w tę jamę wszystko, co im do życia potrzebne, samo włazi, czy wpada, czy wpływa — i siedzi. (Oczywiście do pewnego czasu. A co i jak z tem potem, tego nie wiem — bo w książkach o tem nie pisało.).

W stosunkach ludzkich wygląda to tak:

Na jakiemś zebraniu (imieniny, raut, wizyta dyplomaty) siedzą obok siebie ludzie. Mówią niedużo — ot tyle, aby było znać, że z nich para ludzka wychodzi.

Czy wy myślicie, że pomimo ich nieruchomości, milczenia i doskonałej wzajemnej obojętności — nie odbywają się między nimi jakieś wewnętrzne procesy, w których jeden od drugiego coś bierze, coś kradnie, czyli mówiąc naukowo, coś *chłonie* — nadstawiając do tej wspaniałej akcji, swoje jamy psycho - chemiczne i fizyczne, a więc niby rury, któremi jeden od drugiego ściąga elektryczność, magnetyzm, witaminizm, animalizm, a może nawet... cali hypermanganicum... kto wie?

Czy wy myślicie, że gdyby po pół godziny takiego wzajemnego ochłaniania się w milczeniu i pozornej izolacji, zważono wszystkie jamochłonne osobistość na sali, na jakiejś wadze psychotechnicznej, to wszyscy ludzie ważyliby tyle i to samo, co *przed* tą sesją?! O nie! Przyszłość to pokaże, ile jeden od drugiego wydudlił. Przyszłość — to znaczy ta waga, którą uczeni wynajdą!

Zresztą co tu tak strasznie naukowo bryzgać — powiem prościej:

Czy nie czujecie, że sama obecność pewnych ludzi, samo ich przy was stanie, siedzenie, leżenie, albo samo ich obok was przechodzenie — nie czyni na was wrażenia albo przyjemności, albo nieprzyjemności? Przyjemności — to znaczy, że ich pobliskość was wzbogaca i powiększa — a nieprzyjemności — że wam coś ubywa — jakgdyby ktoś odkręcił w was kurek, z którego leci wasza szanowna idywidualność, jak woda na podłogę?

Coś w tem jest, że ludzie wydzielają względem siebie jakieś cugi psychiczne, skutkiem czego albo jeden drugiego powiększa i pogrubia, albo pomniejsza i pocieńcza. Coś w tem jest.

Niechby sobie zresztą było, jak jest — jest atoli jedna drażniąca okoliczność, nie pozwalająca człowiekowi uczuciowemu chodzić na zebrania jamochłonów — to jest, pardon! cali hypermanga... pardon! to jest... na zebrania znajomych i nieznajomych, którzy ciągle i zawsze mają tę samą twarz, te same oczy, te same wyrazy, te same nosy, i ach, te same podbródki — i te same zęby — i te same włosy w innych miejscach...

— A cóżbyś pan chciał... na szatana! Aby ludzie na każdy raut i imieniny przyśrubowywali sobie inną twarz?

— Jakbyś pan zgadł! A właśnie! Jestem jeden z tych, coby tak właśnie chcieli, aby ludzie swe jednostajne wizerunki fizyczne czemś od wewnątrz oświecali, zmieniali — i dawali im ciekawe zabarwienia, wyrazy — grymasy — załamania — zafrapowania, tony — akordyplastyki...

— Mój panie! Zadużo pan od ludzi wymaga.

— Nie od ludzi. Tylko od jamochłonów. Ma pan rację.



TURNIEJ „7 DNI"

KTÓRA Z ARTYSTEK SCEN POLSKICH JEST NAJBARDZIEJ CZARUJĄCA?

Warunki turnieju

Podobizny artystek, nadsyłane przez Czytelników, będą kolejno umieszczane w naszem piśmie. Po ukończeniu turnieju, w dn. 6 września, artystka, uznana za najbardziej czarującą, otrzyma cenną nagrodę w postaci.

BONU NA PORTRET

wybitnego portrecisty Jana Rudnickiego.

Trzy następne panie otrzymają cenne upominki, a wreszcie pomiędzy panami, którzy głosowali na artystkę, która otrzyma pierwszą nagrodę, rozlosowany zostanie portret.

GŁOSY NASZYCH CZYTELNIKÓW

Czarujący głos — czarująca uroda — gra bez zarzutu — oto zalety p. Grudzińskiej-Gaszyńskiej, które skłoniły mnie do przesłania na nią głosu.

F. Malinowski.

Bywają kobiety urodziwe, bywają kobiety, że tak powiem — cudne. Nora Ney nie jest piękna, nie twierdzę tego, ale jakże czarująca... Niechby mi kto spróbował zaprzeczyć!...

A. Dobrowolski.



Nora Ney. (fot. Dorys.)



P. Nina Grudzińska-Gaszyńska. (fot. Dorys.)

Kupon № 7 do turnieju

„7 DNI"

Wyciąć i załączyć do fotografji.



Straszliwy cyklon szalał niedawno nad Japonją, wyrządzając nieobliczalne szkody w całym kraju. Fotografja nasza przedstawia fragment portu w Nagasaki.

Co słychać na świecie

I znów zrobiliśmy przykrość naszym drogim sąsiadom, Niemcom. Przykrość ta wywołana została wizytą Pana Prezydenta w Tallinie, jakoże Niemcy doprawdy nie lubią przypatrywać się, jak zacieśniają się więzy między narodami sąsiadującymi z Polską i jak to oni, wszechwładnie panujący do niedawna na wodach północnych, tracą powoli swoje wpływy.

Trudno... A Estończycy zgotowali Naczelnikowi Państwa Polskiego, polskiemu ministrowi spraw zagranicznych i ich świecie przyjęcie, jak nie można więcej serdeczne.

Bodaj cała ludność stolicy wyszła na ulice i unieruchomiła się, poza szpalerem wojsk, które na całej pięciokilometrowej przestrzeni miasta stanowiło żywy płot, oddający honory Prezydentowi.

Chorągwie o barwach narodowych polskich powiewają na wszystkich ulicach i gmachach publicznych i domach prywatnych.

W całym szeregu okien sklepowych wystawiono portrety Prezydenta Mościckiego, pośród żywego kwiecia o kolorach polskich.

Ceremonjał przyjęcia był równie uroczysty tak podczas wysiadania z parowca, jak podczas wizyt złożonych w ciągu dnia.

Wszędzie nastrój podniosły, entuzjastyczny i okrzyki radosne: „Niech żyje Polska, niech żyje naród polski!

Po przyjęciu korpusu dyplomatycznego na zamku Kadriorg, gdzie zamieszkał Prezydent, tamże odbyło się poufne śniadanie, wydane przez prezydenta Estonji Strandmana.

Jednocześnie estoński minister spraw zagranicznych przyjął min. Zaleskiego w swych apartamentach i tutaj nastąpiła pierwsza wymiana toastów, podczas których p. Lattik dał wyraz radości i serdeczności z jaką ludność estońska wita drogich jej gości polskich, a p. Zaleski podkreślił charakter wizyty czysto kurtuazyjny i cel jej wybitnie pokojowy, oświadczając, że o ile ideałem sprawiedliwości jest pokój, o tyle synonimem sprawiedliwości jest wojna i wzniósł kielich za pokojową i cywilizacyjną współpracę obu narodów.

Ten sam ton był leitmotywem innych uroczystych przemówień politycznych, wygłoszonych przez prezydenta Strandmana i Prezydenta Mościckiego na wielkim obiedzie, wydanym w letniej rezydencji prezydenta Estonji.

Wizyta Naczelnika Państwa Polskiego, oświadczył Strandman, jest wydarzeniem szczególnie szczęśliwem dla Estonji, która przy boku Polski pracować pragnie dla obrony pokoju i najwyższych ideałów ludzkości.

Miło mi jest, oświadczył z kolei Prezydent Mościcki, że pierwszą moją wizytę urzędową złożyć mogę wyzwolonemu narodowi estońskiemu, którego odrodzenie jest tryumfem sprawiedliwości historycznej.

Niechże dzień ten zaznaczy się utrwaleniem pokoju i ostatecznem jego zwycięstwem w rodzinie narodów cywilizowanych.

Radzi będziemy podać w następnym numerze dokładne sprawozdanie z pobytu Pana Prezydenta w Estonji.

⁂

Obfite komentarze czytamy w prasie zagranicznej o sprawie nowych trudności, jakie zaszły w nawiązaniu pomiędzy Polską, a Niemcami normalnych stosunków gospodarczych. Bo oto w dniu 4 b. m. rząd polski otrzymał odpowiedź rządu Rzeszy na notę polską z dnia 14 czerwca r. b. w sprawie podwyżek niemieckich ceł na artykuły rolnicze.

W nocie swej rząd Rzeszy powołuje się na wyjaśnienia, dane już poprzednio rządowi polskiemu. Powtarzając argumenty dawniejsze o okolicznościach nagłych, które spowodowały podniesienie stawek celnych na artykuły rolnicze, rząd Rzeszy stwierdza, że mimo, iż podwyżki celne z dnia 15 kwietnia opierają się na tej samej podstawie, co podwyżki celne dawniejsze, to jednak podwyżki z 15 kwietnia również przeprowadzone były w okolicznościach nagłych, gdyż dotychczasowa ochrona celna okazała się niewystarczającą wobec ostrzejszego jeszcze niż w innych krajach kryzysu, jaki obecnie przechodzi rolnictwo niemieckie.

Z tych względów rząd Reszy nie jest skłonny rozpocząć z Polską rozmów o rekompensacie, celem przywrócenia równowagi, naruszonej ostatniemi podwyżkami niemieckich stawek celnych na artykuły rolnicze,, z inicjatywą których wystąpiła Polska, zgodnie z procedurą konwencji handlowej, przyjętej na konferencji gospodarczej w marcu r. b. w Genewie.

Trudno... Pięć lat egzystujemy w stanie wojny gospodarczej z Niemcami. I wcale nie jest nam najgorzej, bodaj nawet lepiej, gdyż musieliśmy stworzyć cały szereg nowych placówek i nawiązać nowe kontakty, któreby nam zastąpiły źródła niemieckie.

⁂

Według doniesień z Szanghaju, sytuacja w Hankou uległa dalszemu pogorszeniu. Z Szanghaju wysłano do zagrożonego miasta oddział piechoty angielskiej, złożony z 5 oficerów i 110 ludzi celem wzmocnienia załogi krążownika „Cumberland". Oddział rozporządza karabinami maszynowemi. Przewidywane jest również wysłanie dalszych oddziałów. Do Hankou przybyły 3 kontrtoorpedowce japońskie, 4 zaś znajdują się w drodze. Wysłanie oddziałów angielskich do Hankou jest pierwszym krokiem na drodze interwencji państw obcych celem obrony interesów cudzoziemców. Gdy położenie w Czangcza nieco się poprawiło, sytuacja w Hankou uległa wybitnemu pogorszeniu. W najbliższej przyszłości należy oczekiwać doniosłych wymiarów. W Londynie koła polityczne śledzą z wielką troską przebieg walk w Chinach. Dowódcy okrętów angielskich na wodach chińskich otrzymali szereg pełnomocnictw celem niesienia pomocy obywatelom brytyjskim.

⁂

Liczba strajkujących w przemyśle włókienniczym i metalowym w północnej Francji wynosi 135 tysięcy ludzi, a w tej liczbie 30 tysięcy robotników belgijskich, którzy, udając się do pracy, codziennie przechodzą granicę francusko - belgijską. W przemyśle metalurgicznym daje się odczuć lekkie odprężenie sytuacji strajkowej. Natomiast w przemyśle włókienniczym sytuacja jest w dalszym ciągu zaostrzona.



Pomnik ku czci legjonistów postawiony w Radomiu.



Olbrzymi most został niedawno otwarty w Rotterdamie.



Krol Iraku Fejsal (patrz poprz. nasz rocznik — pamiętniki pułk. Lawrenca) przyjechał do Berlina.



Wanda Jarszewska znakomicie odtworzyła rolę pani Lechat w sztuce „Interes przedewszystkiem" wystawionej w Teatrze Narodowym.



Amerykanka, mis. Florence Barnes pobiła nowy rekord, prowadząc samolot z szybkością 196 mil. ang. na godzinę. Poprzedni rekord wynosił 186 mil.



Syn Zygfryda Wagnera zmarł niedawno w Beyrucie i tamże został pochowany.





W ubiegłym tygodniu odbył się ślub p. Marji Wąż-Ambrożewicz z p. inż. Hugo Szpaczkiem, dyr. nacz. firmy „Tatra" w Warszawie.

Ostatnie posiedzenie

Andrzej Desnel obudził się niezwykle późno. Przez wązkie, długie okno pokoiku na czwartem piętrze wpadł snop promieni słonecznych i ozłocił szare, brudne tapety. Twarz Napoleona, wiszącego nad łóżkiem Desnela, promieniała radością i dumą. W białym obcisłym stroju, z szarfą czerwoną, obejmującą prawe ramię i piersi, siedział zwycięzca z pod Wagram na koniu i ręką, wzniesioną ku górze, wydawał rozkazy niewidzialnemu wojsku. Rumak zadarł głowę, rozszerzył chrapy i dumny, że na grzbiecie swym dźwiga niepokonanego zwycięzcę i władcę świata, zawisł cały w powietrzu.

W mrocznym cieniu reszty pokoju wisiały portrety Korsykańczyka, w najróżnorodniejszych okresach jego życia: dzieciństwa, młodości i późniejszych dni chwały i potęgi. Nie było natomiast ani jednego portretu po nieszczęsnym 1812 roku, gdy nad losem małego kaprala zawisła ciężka ręka przeznaczenia i zdarła z czoła jego aureolę zwycięstwa i sławy. Tuż nad biurkiem pod krucyfiksem z czarnego mahoniu wisiał oleodruk, przedstawiający bohatera na łożu śmierci.

Dzień 15 sierpnia obchodził Desnel bardzo uroczyście: był to dzień urodzin Napoleona. Od roku 1840, a więc przez lat trzydzieści zbierali się byli towarzysze broni w klubie weteranów Napoleońskich, celem uczczenia roczni cy urodzin wielkiego bohatera i odnowienia w pamięci minionych dni chwały. Andrzej Desnel był założycielem klubu i od chwili jego powstania pełnił godnie obowiązki prezesa. W roku założenia było ich kilkuset. Nieubłagana śmierć kosiła z każdym rokiem coraz gęściej i gęściej ich szeregi, i oto pozostało ich dwóch... on i Vatin.

Desnel smętnie pokiwał głową.

— Ile też nasz Vatin ma dzisiaj lat — myślał — wcale nie stary jeszcze człowiek, ma zaledwie 90 najwyżej 91 lat, zawsze był trochę młodszy odemnie. Biedaczysko, dobrze się jeszcze trzyma, ale już w zeszłym roku, gdy jako sekretarz odczytywał protokuł posiedzenia, zaciął się i ręce bardzo mu drżały.

— Co to dziwnego — mruczał Desnel — wkładając galowe ubranie i przypinając do piersi srebrny krzyż, otrzymany z rąk własnych Cesarza, — mówiłem mu zawsze, nie słuchaj wnuczki, stary druhu, nie rzucaj fajki, to odświeża umysł, a kieliszek dobrego koniaku dodaje animuszu.

— Te baby — monologował stary — mogą doprowadzić człowieka do zguby; chwalić Boga, palę, piję i wyglądam przy Jerzym jak młodzieniaszek.

Wziął laskę i opierając się mocno o nią, powoli opuścił mieszkanie. Podnosił ciężko nogi, lecz trzymał się prosto, prawie sztywno.

Gdy wysiadał z omnibusu, który zatrzymał się na prośbę Desnela przed samym klubem, poczuł znowu niezwykły ciężar w głowie, lecz opanował się siłą woli, przystanął na chwilę, oparł się o ścianę domu, poczem ostrożnie wszedł na pierwsze piętro. Przed drzwiami klubu pociągnął za rączkę sznuru jedwabnego. Rozległ się głośny dzwonek. Po chwili otworzyły się drzwi. W przedpokoju stał służący we franku trochę już podniszczonym, lecz świeżo wyprasowanym, w białej sztywnej koszuli, wysokim podpierającym brodę kołnierzyku i białych nicianych rękawiczkach.

— Jak się masz Tomaszu — przywitał go Desnel — czy wszystko przygotowano do dzisiejszego posiedzenia?

— Tak, panie brygadjerze, sala posiedzeń gotowa, książka protokułów leży na stole.

— Pan Vatin już przyjechał?

— Nie, panie brygadjerze, zapewne lada chwila nadejdzie. Pan sierżant Vatin nie lubi się spóźniać. Przed godziną przynieśli list, zaadresowany do pana, położyłem go obok książki.

— Dobrze, stary — poklepał go po ramieniu — zapal kandelabry.

— Już się palą, panie brygadjerze.

Weszli do obszernej sali, pośród której stał długi stół, pokryty czerwonym suknem. Na stole żarzyły się dwa duże srebrne pięcioramienne świeczniki z wstawionemi świecami. Płomienie lekko drgały. W powietrzu unosił się zapach wosku, przypominający zapach kościelny w dni wielkich nabożeństw świątecznych. Okna były przysłonięte ciężkiemi kotarami sukiennemi. W pokoju panował półmrok.

— Już kwadrans na pierwszą — zwrócił się do Tomasza — to dziwne, p. Vatin powinien już tutaj być. A możeśmy nie słyszeli dzwonka?

— Zaraz sprawdzę — odpowiedział służący i wyszedł do przedpokoju.

Desnel rzucił okiem na portret cesarza na ścianie i wyciągnął rękę, by wziąć książkę protokółów, gdy spostrzegł list, leżący obok.

Drgnął i ręka zawisła nieruchomo.

Na kopercie, z dużą czarną obwódką, widniał napis: Na ręce pana prezesa Stowarzyszenia Weteranów Napoleońskich p. Andrzeja Desnel.

Przez ciało Desnel'a przeszedł wstrząs, niby prąd elektryczny, palce latały w powietrzu. Chwycił kopertę i przecinając ją ostrożnie nożem z kości słoniowej, wyciągnął list z takąż czarną obwódką. Trzymał go przez chwil kilka, wreszcie zaczął nerwowo szukać binokli. Po trzykroć wsadzał palce do kieszonki, gdzie zazwyczaj trzymał szkła, nie mógł ich znaleźć. Wreszcie wyciągnął i zaczął powoli czytać.

„Drogi i szanowny panie Desnel. Rodzina Jerzego Vatin pogrążona w wielkim smutku i bólu donosi panu prezesowi Stowarzyszenia Weteranów Napoleońskich, że Jerzy Vatin dzisiaj o drugiej w nocy zasnął spokojnie w Bogu. Ostatnie jego słowa były: biedny Andrzej, bardzo się zmartwi."

Na twarzy Desnel'a wystąpiły dwie duże, żółte plamy, oczy zaszły mgłą; zerwał okulary, wytarł je chustką, założył i przeczytał jeszcze raz. List wypadł mu z ręki. Głowa opadła na piersi, z ust wyrwał się głuchy, straszny jęk. Płomienie świec zadrgały i mocniej zakołysały się, w powietrzu uniosły się, niby wonny dym kadzideł, obłoczki żarzącego się wosku. Twarz Napoleona nabrała odcienia szaro - żółtego.

Otworzyły się drzwi i wszedł Tomasz.

Pana Vatin jeszcze... Dojrzał straszną twarz Desnela i podbiegł ku niemu.

Pan Andrzej nagle zerwał się z miejsca i podpierając się mocno kijem, zawołał donośnym, ostrym głosem:

— Tomaszu, proszę zadzwonić, otwieram posiedzenie.

Służący, osłupiały, lecz przyzwyczajony do rygoru i posłuszeństwa, wziął dzwonek do ręki, potrząsnął nim kilkakrotnie i uroczyście ogłosił:

— Panowie Weterani, Pan Przewodniczący prosi na salę, posiedzenie otwarte.

Głos jego, drżący, lecz silny ,rozległ się głuchem echem po pustej sali, wtórowały mu opadające z lekkim szelestem krople wosku.

— Ogłaszam 31-e ogólne posiedzenie roczne Stowarzyszenia Weteranów Napoleońskich za otwarte — mówił Desnel. — Pod nieobecność sekretarza p. Vatin — głos starego weterana załamał się na chwilkę — protokół zeszłorocznego zebrania odczyta przewodniczący. Wziął książkę do ręki i odczytał.

— Czy obecni przyjmują protokół? Proszę na znak zgody podnieść palce do góry.

Odłożył księgę i podniósł dwa palce.

— A teraz zgodnie z przyjętym w naszem Stowarzyszeniu zwyczajem, uczcimy zmarłych w roku ubiegłym członków.

Przez twarz Desnela przebiegały błyskawiczne drgania mięśni, oczy, utkwione w nieskończoną dal, miały niesamowity blask szklanych oczu trupów, sine wargi trzęsły się konwulsyjnie, głowa nabrała lekkiego ruchu wahadłowego.

— Towarzysze, dzisiaj o drugiej w nocy zmarł w sile wieku nasz długoletni sekretarz Jerzy Vatin. Nie będę podnosił zasług zmarłego... Suchy, duszący kaszel przerwał mu mowę. Powietrze przedzierało się z ostrym świstem przez ściśnięte gardło. Uczcijmy przez powstanie pamięć zmarłego towarzysza...

Desnel wyprostował się, oparł się mocno o stół, poczem drżącemi rękami przeżegnał się pobożnie i zaczął:

— Przystępujemy teraz do porządku dziennego. W roku przyszłym przypada pięćdziesiąta rocznica śmierci naszego Cesarza... Propo... Porr... Proro... zaczął bełkotać.

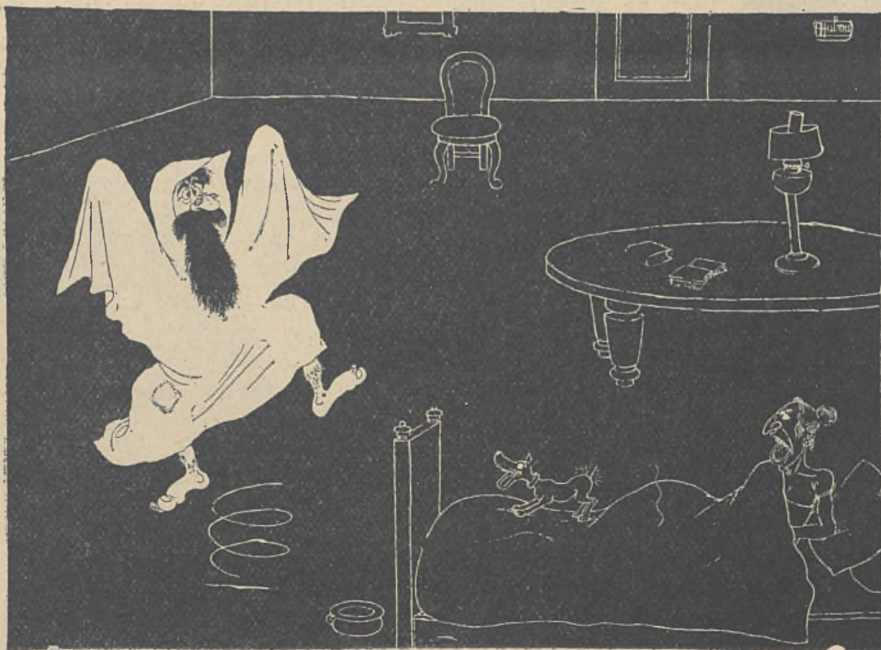
Z niezwykłą siłą porwał obydwa świeczniki, podniósł je w górę i ochrypłym, przechodzącym w dyszkant głosem, krzyknął: *Vive l'Empereur!*

Zachwiał się, kandelabry wypadły mu z rąk, w pokoju zaległ mrok. Przez postać Napoleona przesunął się cień i zastygł na jego twarzy.

Desnel załamał się, zgiął się we dwoje i szepcząc z cicha — Za-my-kam po-sie-dze-nie, — runął z łoskotem na ziemię.



— I właściwie, czy tu nie tak samo, jak w mieście? Siedzi się całe rano, jak w biurze, i myśli się tylko o tem, kiedy będzie czas na obiad...



— Specjalnie przyszedłem z piekła, żeby ci powiedzieć o najdroższa, jak mi strasznie dobrze samemu...

Impresje teatralne

TEATR LETNI: „Egzotyczna kuzynka“, komedja w 3 aktach Ludwika Verneuila.

Już dawno minął okres tryumfów tej komedji w Paryżu. Dlaczegóż więc teatry warszawskie, tak skwapliwie grające wszystkie sztuki Verneuila ominęły ten jego utwór? Bo się bały. Oryginalny tytuł tej komedji brzmi bowiem „Ma cousine de Varsovie“, pomimo, że bohaterką jest Sonia Wariłowa, grała zaś ją w Paryżu urocza Elwira Popescu z akcentem... rumuńskim. Uznano, że typ ten jest paszkwilem na Polkę. To znów, jak kto uważa... Niewiadomo, dlaczego obrażono się, że Polka jest niewiastą olśniewająco czarującą, uwodzącą mężczyzn tuzinami? Należało raczej tylko zmienić imię i nazwisko bohaterki na bardziej polskie i jej psy, noszące miano „Braci Karamazow“ przemianować na powiedzmy... „Pawła i Gawła“ lub „Dwóch panów B.“.

Pozatem sztuka jest oparta na matematyce erotycznej. Zaczyna się od normalnego trójkąta. Wtem przybywa nowy „bok“ i zamiast czworoboku formują się dwa nowe trójkąty, chcące pomieścić się w poprzednim. Ponieważ to jakoś nie dało się zrobić, tworzą się ostatecznie dwie pary linji równoległych.

Te perypetje erotyczno - matematyczne są dość interesujące. Tem się różnią jedynie od matematyki życiowej, że są weselsze, a tem od erotyki życiowej, że każdy akt im bliżej końca, tem bardziej słabnie na napięciu.

Zdaje mi się, że Gellówna nie była jeszcze nigdy tak doskonała, jak w roli zachwycającej „kuzynki“. Była absolutnem uosobieniem t. zw. „sex appeal“, przytem ślicznie „rusyfikowała“. Słowem — ponad wszystkie pochwały. Godnie sekundowali jej: Gzylewska, Lenczewski, a nadewszystko zawsze bardzo dobry Orwid.

*

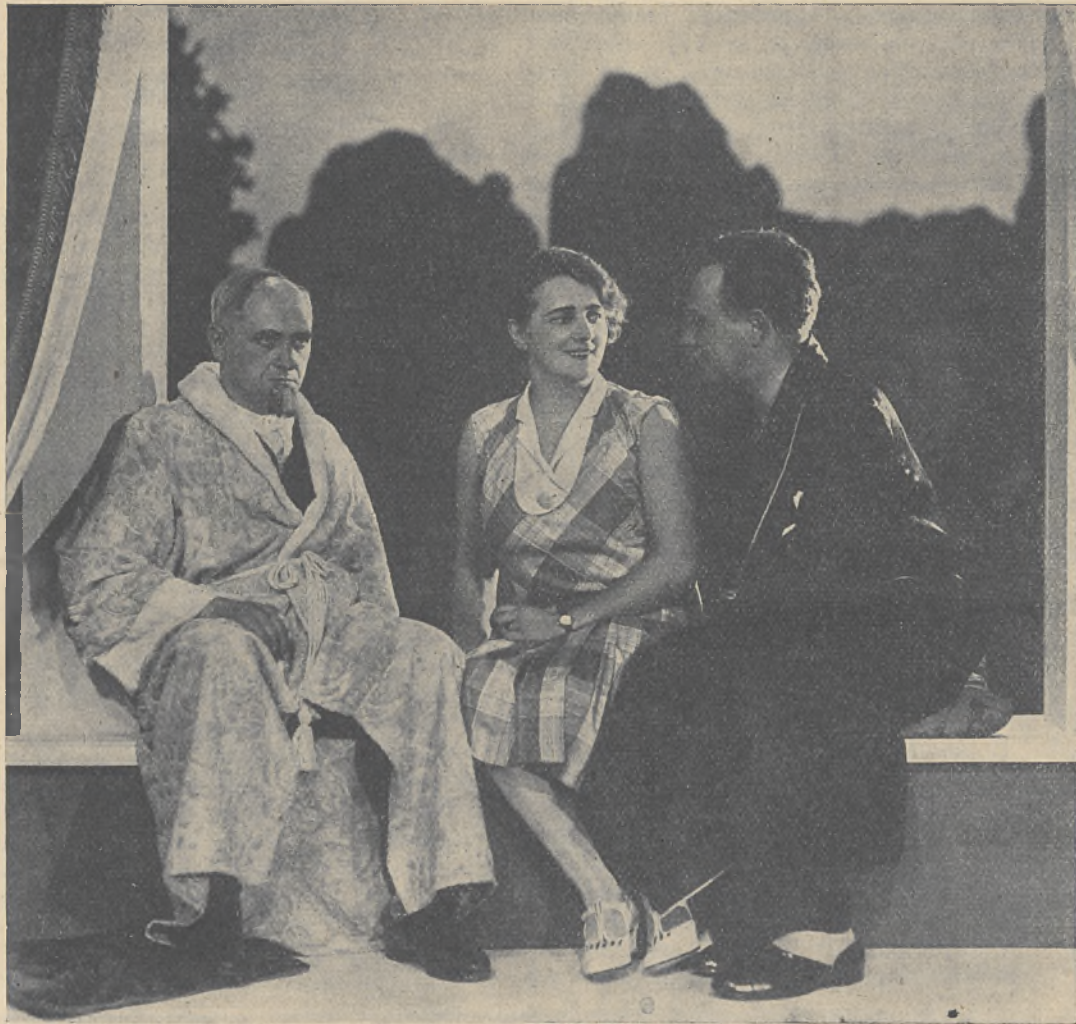
„ANANAS“: „Pani się ubiera“, rewja w dwóch aktach.

Ten „Ananas“ staje się coraz smakowitszy. Takie w nim wszystko młode, świeże, żwawe, no i... słodkie. Uśmiać się można i nacieszyć oko... Np. gdy Hanka Runowiecka parodjuje swą imienniczkę z innego teatru przy dźwiękach nowego ślicznego tanga Wiehlera... Albo skecz „Tombak“, który z pewnością będzie nie „tombakową“, lecz złotą żyłą dla „Ananasa“, takie budzi nieustanne huragany śmiechu... „Cudek“ ananasowy — wiośniana Dusia Sozonowiczówna — znów promieniuje swym rozkosznym wdziękiem pąka różanego; przybyła zaś do kompletu złotowłosa i pięknogłosa Loda Niemirzanka, która również przebojem zdobyła sobie wszystkie serca. Już teraz rzeczywiście niewiadomo, kim się więcej zachwycać, bo przecież mamy tu jeszcze zgoła niedoścignioną tancerkę Igę Korczyńską, która wraz ze Śnieżyńskim wyczynia wręcz nieprawdopobne cuda choreograficzne, no i b. utalentowaną Skwierczyńską, która poświęca bohatersko urodę dla szeregu znakomitych grotesek charakterystycznych (np. w „Nocy poślubnej“ z świetnym Borońskim, lub w piosence „Niecenzuralnej“ z kauczukowym Fuksem i Leńskim), wreszcie są przecież „Ananasiątka“, ładniutkie, zgrabniutkie, zręczne i bodaj najstaranniejsze ze wszystkich warszawskich „girls“. Konkurują z niemi pierwsi w Polsce „boys“. Trzeba jeszcze wspomnieć o Belskim, pysznym „Tombaku“, Laskowskim i młodym jeszcze, ale zdolnym Ciborskim, no i o tem, że konferansjerkę prowadzi sam dyr. Jastrzębiec, któremu wogóle ten „Ananas“ się udał. Nic dziwnego, że tłumnie tam, rojno i wogóle byczo.

Henryk Liński.



Czarująca primadonna „Ananasa“ Hanka Runowiecka nadesłała nam z Krynicy, gdzie bawiła na wywczasach, najserdeczniejsze pozdrowienia dla redakcji i Czytelników „7 Dni“.



P. p. Gzylewska, Lenczewski i Orwid w „Egzotycznej kuzynce“. (fot. Brzozowski.)



Pierwszy polski zespół „boys“ występuje w „Ananasie“.

Groźne pociski komunistycznej propagandy podczas wojny polsko-rosyjskiej 1920 roku

(Dokończenie ze str. 3-ej)

chód, poprzez ziemie polskie, by rozlać na świat tak dyszącą zemstą, krwią i pożogą, rewolucję bolszewicką. Żołnierz polski stanął napoprzek tej fali i piersią swoją wstrzymał napór barbarzyństwa, walcząc krwawo o każdą piędź rodzimej ziemi. Zdawałoby się, że wszystkie państwa Europy winneby zrozumieć ówczesną rolę Polski i pośpieszyć z najgorliwszą pomocą i opieką. Niestety, jak historja to kiedyś wyraźnie wyświetli, było nieomal naodwrót, bo żołnierz polski pozostawał przez długi czas, zdany na samego siebie.

Tymczasem propaganda komunistyczna działała bez przerwy. Wreszcie byliśmy świadkami, gdy komunizm został uznany i stosowany przez Naczelne Dowództwo wojsk czerwonych, jako zwyczajna uśmiercająca broń wojenna.

Agitacja na rzecz rewolucji była zrzecznie przerzucona do Polski, by na tyłach walczących wojsk naszych stać się drugą materjalistyczną armją nieprzyjacielską. Front polski miał być, według obliczeń Moskwy, wzięty we dwa ognie czerwonej armji, jednej—czysto rosyjskiej, i drugiej—zrewoltowanej proletarjackiej, polskiej.

Jednocześnie widzimy wielki wysiłek władz partji komunistycznej, która całkowicie oddała się do rozporządzenia dowództwa czerwonej armji, by wytłómaczyć ludowi i narodom w Rosji sowieckiej, że prowadzona przez Moskwę zaborcza wojna przeciwko Polsce, jest jedynie obroną bytu i mienia rzekomo zagrożonej Rosji. Wszakże Trocki, jako komisarz ludowy do spraw wojskowych Rosji, socjal. Feder. Republiki Rad, delegatów robotniczych i włościańskich, w odezwie swej do chłopów ukraińskich, litewskich, białoruskich i rosyjskich wyraźnie w maju 1920 r. dowodził, że *„Polska napadła na Rosję"*, że wojna idzie o odebranie przez *„polskich panów"* skonfiskowanych przez rewolucję prywatnych majątków, domów i fabryk, że *„rząd Piłsudskiego"*, *widząc*, iż buntują się już na tyłach wojsk polskich chłopi — *„szuka wyjścia z sytuacji i wskazuje chłopu polskiemu na Ukrainę i Białoruś i Litwę, mówiąc: „tam zdobędziemy dla siebie ziemię"*. Dalej dowodził Trocki, a prasa sowiecka i zaprzyjaźniona zagraniczna dalej to kolportowała, że Polska przez wojnę z Rosją chce *„nastraszyć i ująć w karby proletarjat polski"*, który się rzekomo buntuje i jakoby *„staje po stronie władzy sowieckiej"*.

Z chwilą, gdy stało się wiadome dla dowództwa polskiego, że rząd sowiecki podstępnie przewleka i symuluje chęć zawarcia pokoju, by tymczasem przerzucić siły wojsk rosyjskich z Syberji i Kaukazu i runąć niemi, jak burza, na front polski — armja nasza podjęła obronną ofensywę. Chodziło tu o uprzedzenie napaści sowieckiej, by może na tej drodze wymóc pokój sprawiedliwy. Wówczas to władze sowieckie, według programowej akcji propagandy antypolskiej, ruszyły z całą siłą agitacji komunizmu. Polska została przedstawiona opinji społeczeństwa Europy jako strona napadająca i zaborcza. Robotnicy wszystkich krajów, obałamuceni sprytną grą Moskwy, stanęli murem w obronie Rosji sowieckiej. Wówczas to II międzynarodówka socjalistyczna, idąc po linji manewrów propagandowych Moskwy—powzięła ohydną uchwałę, wzywającą robotników portowych i transportowych do sabotażu i wstrzymywania dowozu żywności, amunicji i sprzętu wojennego, zakupywanych przez wygłodzoną i wyniszczoną Polskę.

Dla utrwalenia sobie tej rzeczywistości przytoczymy tu krótką, lecz straszną w swej ślepocie wiadomość z Londynu, jaka w dniu 13 sierpnia 1923 r. przyszła do Warszawy.

„Dnia 11 sierpnia 1920 r., po mowie Lloyd George'a, konferencja Trade Unionów wyniosła rezolucję, że użyje wszystkich środków, ażeby zwalczać nową wojnę w razie, gdyby rząd chciał wystąpić na pomoc Polsce i przeciwko Rosji sowieckiej".

„Taką samą rezolucję uchwalił związek robotników dokowych, uzasadniając swe postępowanie tem, że Polska pierwsza rozpoczęła wojnę".

Na zakończenie wypadałoby wspomnieć, że gdy orężowi czerwonemu, popartemu wielkiemi siłami wojskowemi, uśmiechnęło się chwilowo szczęście wojenne i wróg napierał na bramy stolicy nad Wisłą, propaganda komunistyczna zdemaskowała swe ukrywane dotąd cele. Oto Trocki i Tuhaczewski oświadczali w swych rozkazach, że *„wojska czerwone przejdą teraz przez trupa Polski — do zawojowania reszty państw Europy"*. Dziwne, że właśnie tych haseł zagranica, poza Francją, usłyszeć i zrozumieć nie chciała.

Historja natomiast zanotowała niezmienne koleje losów. Naród polski — demokracja polska, oparła się zalewowi i prądom wywrotowym.

Bolszewizm, upokorzony przez czystego i zdrowego narodowego ducha Polski, prosił o rozejm i pokój. Przygotowany zaś zawczasu tymczasowy rewolucyjny „rząd polski", z Marchlewskim na czele, musiał sromotnie uciekać, nie doczekawszy się obiecywanego tryumfalnego wjazdu do Warszawy.

Odwrót paniczny wojsk czerwonych z pod Warszawy — aż do Niemna, a później dalej pod Mińsk — zaznaczył nową kartę „propagandy" komunizmu. Już Moskwa nie usiłowała nawet tumanić swego narodu, już nikt z partji bolszewickiej nie rzucał haseł uszczęśliwienia ludzkości. Komunizm wówczas objawił właściwą twarz swego charakteru i terorem, furją wyroków czerezwyczajek i dziesiątkowaniem cofających się pułków znaczył swoją nową drogę istnienia, duszącego się w nędzy ustroju bolszewickiego na ruinach dawnych i pysznych planów upokorzenia Polski i Europy.

Słusznie tedy będzie, gdy w rocznicę dziesięciolecia zwycięstwa Polski, nad zaborczemi wojskami czerwonej Moskwy, przypomnimy światu, sobie i komunizmowi, że tryumf, odniesiony w 1920 roku, oznacza również walną wygraną demokratycznego ustroju nad osławioną i fałszem napuszoną „dyktaturą proletarjatu".

Bitwa warszawska

(Dokończenie ze str. 2-ej)

netów wparła się w skrzydła i tyły niedoszłych zwycięzców Polski.

Pod piorunowem uderzeniem armji manewrowej, dowództwo rosyjskie zmuszone zostało zarządzić śpieszny odwrót na wschód który rychło przemienia się w pogrom i popłoch.

Dywizje polskie, stojące na froncie północnym, przyłączają się stopniowo do pościgu i rozwijając dalej genjalny manewr Naczelnego Wodza, osiągają, po całym szeregu wspaniałych tryumfów orężnych, zniszczenie kompletne większości wojsk rosyjskich.

Nie pomogły rozpaczliwe wysiłki sztabu czerwonej armji. Fale najazdu ogarnęła dezorganizacja, strach i całkowita niechęć do dalszych działań wojennych.

Tuhaczewski i stojący poza nim Kreml musiał się wyrzec rozległych projektów, związanych z pokonaniem Polski.

Młoda Rzeczpospolita nasza w zaraniu swej wolności pokazała, jakie niespożyte siły drzemią w jej łonie, do jakich czynów jest zdolna. Zespoliwszy całą swoją tężyznę duchową i zasoby materjalne, poszła z wiarą za swym Naczelnikiem i Wodzem, osiągając pod Jego przewodem zwycięstwo, godne historycznego miana: przedmurza chrześcijaństwa.

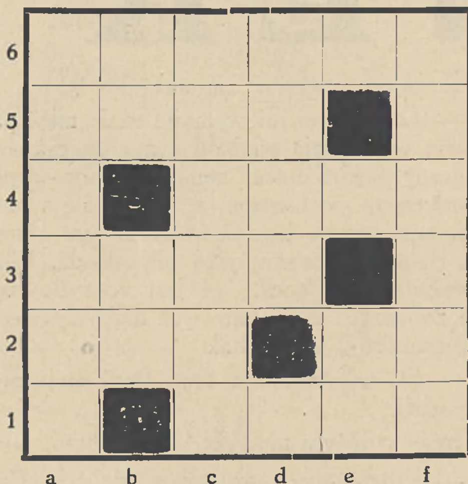






Rozrywki umysłowe

KRZYŻÓWKA



ZNACZENIE SŁÓW

Wyrazy pionowe

a6 Więc
b6 Nuta
b3 Mieszkanie owadów (wspak)
c6 Jedyny egzemplarz
d6 Znakomita śpiewaczka
e2 Nazwa litery
f6 Inaczej glazura

Wyrazy poziome

a6 Materjały kosztowne
a5 Uszkodzenie ciała
c4 Imię żeńskie (zdrobniałe)
a3 Gatunek futra
a2 Twoja (w języku starożytnym)
e2 Wykrzyknik
c1 Zapora

BILETY WIZYTOWE

ułożyła p. Zofja Kuczyńska z Warszawy.

EDW. KANIA-DYNAWICZ

Z. SOKOLNICKA

Z powyższych liter ułożyć zawód tych osób.

ROZWIĄZANIE LOGOGRYFU z Nr. 30

ChraM
HugO
ŁowieC
[illegible]
PalmerstoN
IrenA
CzerwieC
KajaK
IstratI

Chłopicki — Mochnacki

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI SYLABOWEJ z N-ru 31.

	PER	KA	LE	
PRA	SO	WA	NIE	
GA	NI			WY
	FI	LA	RE	CI
PA	KA		ZO	NA
RA	CJA		LUT	NIE

NAGRODY

za rozwiązanie zadań z N-rów 27, 28 i 29.

W wyniku losowania, które odbyło się w dn. 9 sierpnia, w lokalu redakcji,

25-złotowe nagrody

za rozwiązanie zadań z N-rów 27, 28 i 29 zostały przyznane następującym osobom:

Za Nr. 27: p. B. Diller, Warszawa, ul. Graniczna 15.

Za Nr. 28: p. Marja Zawidzka, Świder pod Warszawą, willa J. Sierpińskiego.

Za Nr. 29: p. Zygfryd Setkowicz, Trzebinia, Rafinerja Nafty.

KRZYŻÓWKA z N-ru 30

była mylnie wydrukowana, wobec czego nagroda zostanie rozlosowana wśród Czytelników, którzy rozwiążą trafnie logogryf. Termin nadsyłania rozwiązań logogryfu z N-ru 30 przedłuża się do dnia 23 sierpnia b. r.

NAGRODY

Za rozwiązanie krzyżówki oraz biletów wizytowych z niniejszego N-ru przeznaczamy do rozlosowania nagrodę w postaci

25 ZŁOTYCH

oraz 2 książki beletrystyczne. Termin nadsyłania rozwiązań do dn. 27 sierpnia.

SZACHY.

Jak wiadomo turniej o Puhar Narodów w Hamburgu zakończył się wspaniałem zwycięstwem drużyny polskiej, która w składzie: Rubinstein, Tartakower, Przepiórka, Makarczyk i Frydman — zdobyła pierwsze miejsce (48½ punktów) i puhar wędrowny lorda Hamiltona Russela. Drugie miejsce zajęli Węgrzy, trzecie Niemcy.

Podajemy jedną partję z turnieju.

Partja szkocka.

Białe: Golmayo de la Torriente — Hiszpanja.

Czarne: K. Makarczyk — Polska.

1. e2—e4 — e7—e5; 2. Sg1—f3 — Sg8—f6; 3. Sb1—c3 — Sb8—c6; 4. d2—d4 — e5×d4; 5. Sf3×d4 — Gf8—b4; 6. Sd4×c6 — b7×c6; 7. Gf1—d3 — O—O; 8. O—O — d7—d5; 9. e4×d5 — c6×d5; 10. Gc1—g5 — c7—c6; 11. Hd1—f3 — Gb4—e7; 12. h2—h3 — h7—h6.

Czarne zmuszają gońca do zdeklarowania się.

13. Gg5—h4 — Wa—8b8!

Z zyskiem tempa wieża wchodzi do rozrywki.

14. b2—b3 — Wb8—b4!
15. Gh4—g3 — Sf6—h7!

Początek ataku.

16. Wf1—e1 — Sh7—g5!
17. Hf3—e2 — Ge7—f6!
18. Gg3—e5.

Lepiej było Hd2. Teraz czarne wygrywają piękną kombinacją.

18. . . . . . . — Gc8×h3.
19. g2×h3.

Jedyną obronę stanowiło pozornie 19. f2—f4! ale czarne przygotowały niespodziankę 19. . . . . . Wb4×f4!! 20. Ge5×f4 — Gf6×c3. 21. Gf4×g5 — Hd8×g5! i czarne wygrywają.

19. . . . . Gf6×e5 i białe się poddały.

GEORGE M. SAVILLE.

POCAŁUNEK

Strzeszczenie poprzednich rozdziałów.

Irena Guarry, żona przemysłowca lyońskiego, zostaje odwiedzona przez młodego La Salla. La Salle, żegnając się, zaczyna ją całować. Na to wchodzi mąż Ireny i rzuca się na młodzieńca. Irena chwyta bezwiednie za rewolwer i zabija męża. Podczas śledztwa Irena oświadcza, że mąż popełnił samobójstwo.

— To wystarcza, panie La Salle, — rzekł sędzia. La Salle usiadł. Sędziowie byli zafrapowani wobec takiej oczywistości! Nawet opinja ogółu tylko co tak przeciwna pani Guarry, przerzuciła się teraz na jej stronę. Na galerji zaszumiało od ożywionej wymiany zdań.

Wkrótce potem w redakcji „Lyons Heraldu", wydawca odszedł od telefonu z krzykiem:

„Uniewinniona!"

Oburącz począł zgarniać banknoty frankowe, pietrzące się niebawem przed nim na biurku.

IV.

Irena Guarry, zupełnie wyczerpana, przeszła z sali sądowej do małego hallu obok. Przyniesiono jej szklankę wody. Piła wolno. Czuła się trochę orzeźwiona.

Dubail, promieniejący radosnym tryumfem, wpadł do hall'u.

— Aleśmy odwrócili karty niespodziewanie! — wołał.

— Bardzo to uprzejme z twej strony, żeś się tak zajął moją sprawą, gorliwie a skutecznie, — rzekła Irena.

W głosie jej była wdzięczność, ale ciepła w nim nie było.

— Ależ ja cię kocham,—odparł Dubail, — i dlatego tak walczyłem o twoją wolność, o twe życie. Nie masz mi za co dziękować.

— Mam za co, — rzekła Irena ze spokojną godnością, — ponieważ jutro Lyon opuszczam.

Dubail był zaskoczony.

— Sama?

Irena przytaknęła.

Potrząsnął głową przecząco w sposób wielce energiczny.

— Nie, nie. To niemożliwe.

Irena słuchała jego słów z wyrazem udręki na twarzy. Jeżeli w dalszym ciągu będzie nalegał, by ją tu zatrzymać, będzie zmuszona walczyć na dwa fronty: przeciw jego wymowie i uczuciu, oraz przeciw własnemu pragnieniu pozostania.

Wreszcie przecięła krótko, mówiąc:

— Nic nie pomoże, Andrzeju, muszę odjechać.

Dubail przyglądał jej się uważnie. Dlaczego miała odjeżdżać?... Irena zachowała milczenie przez dłuższą chwilę. On ujął jej ręce i zapytał:

— Co nas dwoje może dzielić jeszcze?

Irena popatrzała mu w oczy wejrzeniem pełnem smutku i tajemniczości.

— Kochasz mnie, wszak prawda? — zapytał.

Niepohamowana namiętność, drżąca w jego głosie wytrąciła ją z równowagi. Ulegała coraz silniej jego wpływowi. Nieomal mimowoli wyrwało się z jej ust wyznanie:

— Tak, tak, kocham cię!

Impulsywnie zarzuciła mu ramiona na szyję i przycisnęła usta do jego warg.

Zaledwie wyrwali się ze swych objęć, gdy wszedł nieśmiało Piotr. Widok chłopca przypomniał coś Dubail'owi.

— Przepraszam, — rzekł, — ale ja muszę teraz iść podziękować ojcu pańskiemu za idealne wywiązanie się z roli świadka.

— Ojciec czeka na mnie przy wyjściu — odparł Piotr.

Dubail szybko pobiegł we wskazanym kierunku.

Piotr, ociągając się, zaczął:

— Ojciec upoważnił mnie do oznajmienia pani, że, o ile chodziło o pomoc materjalną, jest zawsze do dyspozycji pani...



(fot. Metro).

Dławiąc się własnemi słowami, Piotr urwał, strasznie zakłopotany.

— Nie jestem obecnie w potrzebie, — odparła Irena z pobłażliwym uśmiechem. Piotr nie wiedział, co na to powiedzieć.

Mruknął coś o nieprzeszkadzaniu jej.

Irena odparła krótko:

— Nie przeszkadza mi pan.

— W takim razie chciałbym panią o coś poprosić.

Irena podniosła brwi pytająco.

— Czy pani może mi przebaczyć? — zapytał błagalnie.

Wspomnienia, jakie te słowa nasunęły, były dla Ireny więcej, niż przykre. — Tak, tak, — odpowiedziała, — już dawno przebaczyłam panu.

Z bijącem sercem zapytał:

— Czy wolno mi w takim razie mieć nadzieję widywania pani od czasu do czasu?

Ireny przemęczone nerwy groziły wypowiedzeniem posłuszeństwa. Bała się wybuchu namiętności tego nieobliczalnego chłopca, dała więc wymijającą odpowiedź. Piotr momentalnie odgadł, że jest zdecydowana nie zobaczyć się z nim już nigdy więcej. Zrozpaczony, zaszlochał:

— O! wiedziałem o tem. Pani mnie nienawidzi!

Irena położyła mu rękę na ramieniu.

— Proszę, niech pan teraz odejdzie. Czy pan nie rozumie, że we mnie sam fakt obecności pańskiej wywołuje całą gamę tragicznych wspomnień?

Piotr chwycił jej rękę i okrył ją pocałunkami. Ona, wylękła, usiłowała mu ją wyrwać, ale trzymał ją mocno w swych dłoniach, krzycząc, że kocha Irenę nad życie. I znów zaczął ronić obfite łzy, nie przestając okrywać pocałunkami jej rąk i ramion.

W tym momencie wrócił Dubail. Zatrzymał się zdumiony i uśmiech znikł z jego ust. Piotr zmieszany odsunął się od Ireny, poczem, skłoniwszy się, i opuścił ich, pozornie spokojny.

— Sądziłem, — rzekł Dubail bardzo powoli, — że my dwoje nie mamy przed sobą sekretów.

Irena patrzała w dal.

Dubail'a zazdrość pozbawiła rozsądku.

— Ten chłopak był twoim kochankiem! — wybuchnął. — Teraz rozumiem, dlaczego stary La Salle tak gorliwie zeznawał. To Piotr zabił Guarry'ego!

Ierna zwróciła się ku niemu i rzekła z rozpaczą w głosie:

— Nie, nie kochałam nigdy nikogo, prócz ciebie i nie będę przed tobą nic ukrywać. Powiem ci całą prawdę.

— Prawdę! — ty nawet nie wiesz, co znaczy ten wyraz, — zawołał gniewnie Dubail.

— Proszę cię, Andrzeju, wysłuchaj spokojnie, tego, co powiem. To rozwieje wszelkie twoje wątpliwości. Ale najpierw powiedz mi jeszcze raz, że mnie kochasz... proszę, proszę cię o to!

— Tak... kocham cię, — rzekł Dubail ponuro.

— Wiem, że ból ci zadam, ale mówić muszę, muszę ci prawdę powiedzieć, — zaczęła Irena. Następnie wolno wyrzekła, oddzielając wyraźnie sylaby jedną od drugiej:

— Mój mąż nie odebrał sobie życia. Ja go zastrzeliłam!

— Coś powiedziała?! — krzyknął Dubail w dzikiem przerażeniu.

Irena powtórzyła. A potem opowiadała dalej, aż powiadomiła go o wszystkich szczegółach tej patetycznej historji. Gdy skończyła, siedziała w milczeniu, czekając na jego wyrok, dla niej najważniejszy! Słychać było tylko ciężki oddech Dubail'a.

Wreszcie rzekł:

— To wszystko kłamstwo, kłamstwo!

— Bałam się przyznać do wszystkiego przedtem; bałam się tego oto spojrzenia ze strony człowieka, którego kocham!

I znów oboje milczeli. Z niepokojem zapytała Irena:

— A zatem potępiasz mnie?

— Mów! — wybuchnął Dubail — czy Piotr La Salle był twoim kochankiem, czy jeszcze jest twoim kochankiem!?

— Cóż ja uczynię, abyś mi uwierzył? O, bądź pewien, że nie bez trudności przyszło mi wyznać ci, że to ja zastrzeliłam mego męża. Ale wszak nie musiałam ci tego powiedzieć — zwłaszcza, że mimo wszystko niema w tem mojej winy. Co mam jeszcze uczynić, abyś mi uwierzył?

Dubail przyjrzał jej się uważnie i badawczo. W jej szczerej postawie przejawiał się szalony niepokój i rozpacz. Powiedziała prawdę. Czyż miał i on popełnić okrutną omyłkę Guarry'ego i znowu niszczyć jej życie i szczęście? Ocierając łzę z kącika oczu, uśmiechnął się i wyciągnął do niej ramiona.

Irena rzuciła się w jego objęcia, jak spłoszony gołąb leci do swej kryjówki. Usta ich złączyły się w długim pocałunku.

— Spędzimy nasze miodowe miesiące zdala stąd! — rzekł wreszcie Dubail.

— Dzięki tobie chcę zapomnieć o wszystkiem! — odparła.

I znów padła mu w ramiona i przytuliła się do niego, jakby szukając opieki. Całował ją namiętnie. Głośny śmiech wyrwał ich z tego upojenia. Trzy służące, sprzątające gmach sądowy stały w drzwiach i przyglądały im się.

— Chcemy zamieść i tutaj — rzekła jedna z nich.

— A my pojedziemy w podróż poślubną do Egiptu... tam jest kraj dla zakochanych! — powiedział Dubail, opuszczając z Ireną progi sądu.

KONIEC.

Czy wiecie że...

...skóra murzyna afrykańskiego jest półtora raza grubsza, niż skóra Europejczyka.

✻

...pierwszy zegar z prawdziwym mechanizmem zegarowym został wynaleziony w r. 1000 przez francuskiego zakonnika. Do tego czasu posługiwano się tylko zegarem słonecznym.

✻

...słowo „idjota" bierze swój początek z greckiego, gdzie miało znaczenie: człowiek prywatny w sensie człowieka, który nie jest znaną osobistością, nie zajmuje specjalnego stanowiska, nie posiada żadnego fachu, nie jest urzędnikiem państwowym i t. p.

✻

...w Lipsku wprowadzono nowe wozy tramwajowe, zaopatrzone w najnowsze udoskonalenia techniczne. Posiadają one elektryczny hamulec, sygnalizację świetlną oraz dzwonki, uruchamiane zgęszczonem powietrzem. Dla wygody publiczności wozy te posiadają siatki na bagaż oraz stoliczki między ławkami.

✻

...lwią część narodów słowiańskich stanowią Rosjanie, których jest 87.790.000, za nimi idą (w tysiącach) Ukraińcy 38.810, Polacy 23.920, Serbowie i Kroaci 9.440, Czesi 8.120, Białorusini 6.600, Bułgarzy 6.200, Słowacy 2.900, Słoweńcy 1.610. Ogółem liczą słowiańskie narody 179.800.000 ludzi.

✻

...w Polsce jest obecnie 65.100 czytelni, które posiadają razem około 15 miljonów książek.

✻

...największy przyrost naturalny ludności jest w Japonji. W roku 1880 kraj ten liczył 25 miljonów mieszkańców, w roku 1905 — 50 miljonów, w roku zaś 1929 — 70 miljonów. Co miesiąc przybywa 123.142 obywateli, co dnia — 4.104, a co minutę—trzech nowych obywateli.



— *Panie mecenasie, czy pan nie uważa, że pańska córka jest odpowiednia dla mnie na żonę?*

— *Wcale tego nie uważam, mój panie. Proszę 50 złotych za poradę!...*

Aktualne uwagi

(HIGJENA I URODA W LECIE).

Wiadomo czytelnikom z poprzednich artykułów o niszczącem działaniu słońca na skórę *twarzy*. Stosując kąpiele słoneczne ciała, rozpoczynamy od paru minut, czem pobudzamy cały organizm do żywszej przemiany materji a zatem i do ożywienia skóry ciała oraz twarzy, aczkolwiek ją zakryjemy. Twarz zaś stanowi zbyt małą powierzchnię, aby nieznaczna ilość energji światła zadziałała skutecznie na żywotne narządy organizmu, a nadomiar złego — wysilają się ożywcze gruczoły twarzy doszczętnie. Naświetlanie kremem natłuszczonej twarzy jest zgubne, ponieważ odpada moment przekrwienia. Skutki naświetlania twarzy objawiają się już w jesieni: wysuszona, chropowata i zgrubiała twarz marszczy się przedwcześnie. Złudne jest zatem początkowe ożywienie cery. Jednem słowem: chronić twarz przed działaniem słońca, pudrując ją w lecie obficie nieszkodliwym roślinnym pudrem. Polecić mogę jedynie puder egzotyczny D-ra Lustra i to kolory: naturalny, rachel - soleil, bananowy, różowy lub brun. Zniszczoną słońcem cerę ożywia się, naparzając twarz natłuszczoną ożywczym kremem „Oxa" D-ra Lustra, wedle załączonego przepisu, podobnie jak starzejącą się cerę.

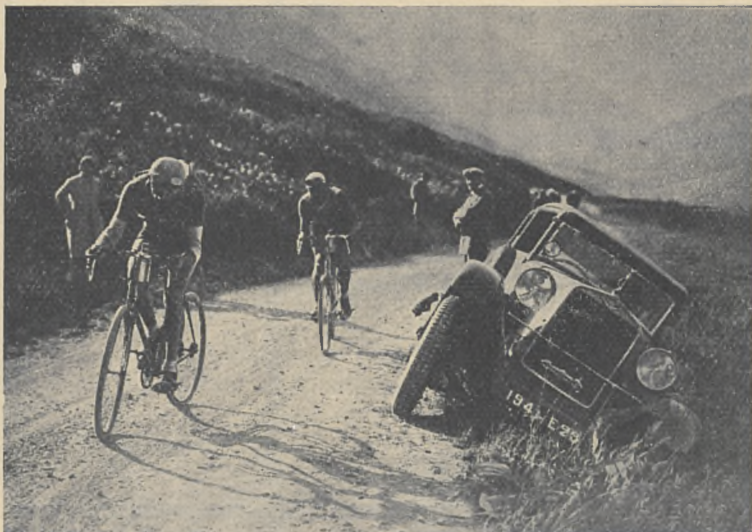
Dr. Z. B.

K. KUKUCZ.

TOUR DE FRANCE

Dramatyczne perypetje największego wyścigu kolarskiego świata

(Korespondencja specjalna z Paryża.)



Jednym z najcięższych etapów jest góra Galibier.



Na etapie pomiędzy Marsylją a Cannes.

Od blisko ćwierć wieku, rok rocznie w lipcu, rozgrywa się na szosach Francji najpotężniejsza impreza sportowa świata — gigantyczny bieg kolarski dookoła Francji — *Tour de France*.

Najtężsi, najdzielniejsi kolarze francuscy, włoscy, belgijscy, hiszpańscy i niemieccy (jak w tym roku) walczą przez cztery tygodnie, w ciągu których mają prawo tylko czterokrotnie do jednodniowych odpoczynków, walczą całym wysiłkiem mięśni i nerwów, wytrwałości i odwagi, o palmę pierwszeństwa i sławę.

Tour de France... Dewizą każdego zawodnika jest: byle szybciej, byle dalej, za wszelką cenę naprzód, aby w klasyfikacji ogólnej znaleźć się na czele i ukończyć bieg w najkrótszym czasie.



Asy drogowego kolarstwa francuskiego — Fontan i Cardona.

Trasa tego gigantycznego biegu prowadzi ściśle dookoła Francji, od miasta do miasta, wzdłuż jej quasi — prostokątnych granic, na przestrzeni 6.000 kilometrów.

Z Paryża falanga zawodników, eskortowanych przez kilkadziesiąt samochodów z sędziami biegu, dziennikarzami lub zwykłymi widzami, rusza najpierw na północ, do morza, by następnie posuwać się na zachód wśród mglistych równin Normandji i malowniczych krajobrazów Bretanji.



Trasa Tour de France obfituje w przepiękne widoki. Zawodnicy przejeżdżają przed pałacem w Amboise.

Potem sunie na południe, wzdłuż piaszczystych wydmuchowisk i naprzemian skalistych brzegów, które oblewa błękitny Atlantyk...

Nadchodzi najcięższy etap całego biegu — zdobywanie potężnych Pirenejów, pełnych niebezpiecznych przejść i zdradliwych wirażów, z groźnemi szczytami, przy których pokonywaniu zdobyć się trzeba na najwyższy wysiłek — Aubisque i Tourmalet.

Z kolei przez rozsłonecznione Południe, wzdłuż Morza Śródziemnego do Nicei i znów znojny trud o zdobycie Alp.

Potem wreszcie po równych drogach Alzacji i Lotaryngji, poprzez Pikardję zasnutą dymami kominów fabryk i kopalń, ostatni wyścig do Kanału La Manche, by nakoniec spaść z nad morza do Paryża, gdzie w Parc des Princes kilkadziesiąt tysięcy ludzi witać będzie i oklaskiwać zwycięscę.

Tour de France wymaga od każdego zawodnika najwyższej klasy. Trzeba dać z siebie wszystko, trzeba się zdobyć na wysiłek niebywały, a mimo to wynik pozostaje zawsze pod znakiem zapytania. Można pobić rywali, trudno jednak jest walczyć z przeciwnościami losu.

Przypadki w drodze odgrywają rolę w tym biegu większą, niżby się napozór zdawało; często wywierają wpływ decydujący na wynik.

W czasie ktżdego biegu rozgrywają się prawdziwe dramaty, nieraz wręcz tragedje. Przeciw każdemu zawodnikowi staje do walki nietylko stu rywali, ale także nieobliczalny zupełnie przypadek, w obliczu którego jest się bezsilnym. Najczęściej, choć nie zawsze.

Tegoroczny Tour de France właśnie przechodzi do kronik sportu pod znakiem prawdziwego cudu woli, na jaki zdobył się kolarz francuski Andre Leducq na etapie Grenoble - Evian w Alpach. Od Pirenejów, gdzie najczęściej rozstrzygają się losy poszczególnych zawodników, Leducq wysunął się na czoło klasyfikacji ogólnej i odtąd, mając najlepszy czas, jest leaderem biegu, czego symbol stanowi żółta koszula, którą przeznaczone mu było zachować aż do końca. Ale szczyt alpejski Galibier okazał sie dla niego złowrogim i o mało nie pozbawił go za jednym zamachem zarysowującego się już, pewnego prawie zwycięstwa.

Był to szesnasty etap biegu. Przy zjeżdżaniu ze szczytu Galibier pękła Leducq'owi guma. Jego najgroźniejszy przeciwnik, młody i świetnie zapowiadający się kolarz włoski, Guerra, wyprzedza go w tej chwili. Minuty są drogocenne i, po założeniu nowej opony, Francuz, zapominając o wszelkiej rozwadze w swej woli zwycięstwa, rzuca się w ślady Włocha, zjeżdżając na łeb, na szyję. Lecz wkrótce potem następuje katastrofa. Jeden z pedałów łamie się, Leducq pada, jak długi. Potłuczony, ranny, płacze, jak dziecko, przekonany, że teraz wszystko już stracone.

Wtedy to widziano, co może duch koleżeństwa i solidarności w sporcie. Najdżeżdżają kolejno inni zawodnicy ekipy francuskiej i, widząc swego towarzysza w rozpaczy, ze złamanym pedałem, unieruchomionego i mówiącego już o wycofaniu się zupełnem z biegu, widząc, że oczekiwane zwycięstwo Francji stoi pod znakiem zapytania, postanawiają mu pomóc. Od przejeżdżającego prywatnego cyklisty pożyczono nowy pedał, wspólnemi siłami naprawiono rower Leducq'a i cała ekipa postanawia popróbować tego, co wydawało się już nie do odzyskania i prawie niemożliwe: odbić straconych 13 minut, które w tym biegu mają wartość godzin.

Tak rozpoczął się szalony, morderczy wyścig w tempie 60 klm. na godzinę, który pozwolił Deducq'owi nietylko dogonić towarzysza, ale nawet wjechać na metę do Evian, jako pierwszy.

Był to triumf, prawdziwe wyznanie rzucone złemu losowi. Ale naogół rzadko ten zły los — fatalny przypadek, da się pokonać.

Zeszłoroczny choćby Tour de France zapisał się tragiczną przygodą, jakiej uległ pierwszorzędny kolarz, nadzieja całej Francji sportowej — Marcel Fontan.

Fontan, stary, wypróbowany długodystansowiec, świetnie umiejący się wspinać na stoki niebotycznych Pirenejów, potrafił właśnie w tym pasie górskim zdobyć dziesięć drogocennych minut na czasie, tak, że miał już prawo do żółtej koszulki leadera biegu.

Na etapie Luchon — Perpignan, gdy wielotysięczne tłumy Gaskończyków i Basków szły go oklaskiwać, Fontan w nocy łamie swą maszynę, traci czterdzieści minut na wyszukanie nowej, na nowo staje do wyścigu, zdobywa znów nadludzkim wysiłkiem woli dziesięć minut, a potem nagle, widząc beznadziejność dalszej walki, zrozpaczony i zalany łzami, wycofuje się zupełnie. Świat sportowy Francji odczuł to wtedy boleśnie. Belgowie wysunęli się na czoło i prowadzą odtąd już przez cały czas, a ich rodak, Dewaele, wygrywa bieg.

Dramat sportowy jest często spotykanem zdarzeniem; kolarz, który wydobył z siebie wszystko, aby się wysunąć naprzód, aby zdobyć choć dwie minuty na czasie, musi się zatrzymać na kilka kilometrów od celu z powodu błahego pęknięcia gumy. Cokolwiek robi, by jaknajszybciej założyć nową, nie ujdzie już losowi. Nadjeżdżają inni zawodnicy i wyprzedzają go. Tak się dokonywuje niesłuszna, niesprawiedliwa eliminacja. Taką jest „pełna chwały" nieobliczalność sportu....

Ów etap pirenejski odbył się w ub. roku pod urokiem jagiegoś złego ducha rzuconego na drogę. Oprócz Fontana jeszcze kilku zawodników pospadało z kół. Walka toczyła się zacięta, nieubłagana, w szalonem, piekielnem tempie. Po kilkunastu upadkach, z których ludzie podnosili się zalani krwią i z rozpaczą w sercu, gdy mimo nadludzkich wysiłków, wśród mnóstwa zawiedzionych nadziei, w tabeli dokonały się kompletne zmiany w ciągu kilku godzin, zdawało się, że zwycięstwo w etapie tym przypadnie w udziale małemu i dzielnemu Francuzowi, Benoit Faure'owi, który przez 150 kilometrów szedł naprzód niestrudzenie i laur zwycięscy trzymał już w r

Na dwadzieścia kilometrów przed Perpignan Faure potyka się na kamieniu i spada...

Historja sportu kolarskiego we Francji zanotowała już wiele takich dramatycznych sytuacyj, różniących się w szczegółach, ale jednakich w skutkach. Jeżeli przytem, jak w opisanym wyżej wypadku Leducq'a, zarejestrować można piękne akty poświęcenia się i solidarności koleżeńskiej, zdarzają się również postępki, które podpadają pod kodeks karny.

Przed wojną jeszcze, w którymś z biegów dookoła Francji, jeden z kolarzy, mający wszelkie dane na pierwsze miejsce, został nagle zaskoczony w pełnym pędzie załamaniem się pod nim roweru: widełki przepiłowane zostały czyjąś nieznaną ręką.

Świetny, znany dobrze przed wojną kolarz francuski Faber, walcząc o pierwsze miejsce w jednym z biegów, był zmuszony wycofać się wskutek okropnych kurczów żołądka. Przywołany lekarz stwierdził zatrucie... W ten to zbrodniczy sposób pozbyto się niebezpiecznego rywlaa.

Obyczaje sportowe od tego czasu znacznie się coprawda zmieniły na lepsze. Nie słyszy się już w każdym razie, aby jakiś zawodnik powiedział do swego rywala, wyciągnąwszy rewolwer: „Jeśli mnie prześcigniesz, zginiesz". Wypadek taki miał ongiś miejsce w którymś z biegów Paryż — Bordeaux. Obecnie coś podobnego nie byłoby do pomyślenia, ale i dziś zdarzają się gorszące zajścia; w tym roku naprzykład, na jednym z ostatnich etapów, wspomniany już kolarz włoski Guerra spoliczkował Francuza Pelissiera, pod pretekstem, że ten spychał go z drogi przy dojeżdżaniu do mety.

Naprawdę ciężki i najeżony trudnościami jest wyścig „olbrzymów drogi", jak Francuzi nazywają uczestników Tour de France. Taki choćby bardzo znany kiedyś zawodnik francuski, Christophe, padł ofiarą w czasie biegu dookoła Francji dwuch, kolejno po sobie następujących, nieszczęśliwych wypadków. Raz przy zjeżdżaniu ze szczytu góry zapóźno wziął skręt i przeleciał przez parapet postu, spadając do rzeki. Cudem jakimś wyszedł cało, pożyczył sobie nowy rower i bieg prowadził dalej.

Pod koniec tego biegu, na etapie Metz — Dunkierka, ten sam Christophe, będący na czele klasyfikacji ogólnej i mający pewne zwycięstwo w ręku, nadwyrężył sobie przednie koło na „kocich łbach". Ówczesny regulamin nakazywał zawodnikowi, pod groźbą wykluczenia z biegu, robić wszystkie reparacje samemu. Nieszczęśliwy Christophe musiał lutować i naprawiać sam. Stracił godzinę... i bieg.

Podobny wypadek wydarzył się Włochowi, Prątesi. Ale u niego sprawa była znacznie bardziej jeszcze skomplikowana: nie umiał ani słowa po francusku i tylko z trudnością mógł się porozumieć gestami i wymachiwaniem rąk.

Przed pięciu laty dwaj znakomici kolarze francuscy, bracia Pelissier, padli ofiarą w okolicy Nicei zuchwałego napadu. Byli oni wtedy najgroźniejszymi rywalami Włocha Botechni, który miał później zginąć w tajemniczym wypadku w czasie treningu na tem samem miejscu, gdzie miesiąc przedtem znalazł śmierć w podobnych warunkach jego brat.

Zapaleni zwolennicy Botechni, rekrutujący sie z pośród Włochów, licznie zamieszkujących okolice Nicei, rzucili się na obu braci. Jednemu z nich napastnicy strzaskali rower olbrzymim kamieniem, drugi został umyślnie najechany przez motocykliste, wywrócony i ranny. Obaj bronili się, jak mogli, kluczem angielskim rozdając ciosy na lewo i prawo. Ocalenie swoje zawdzięczają tylko ucieczce.

I jeszcze jedna dramatyczna przygoda. Włoch Gordini (olbrzym, którego żona umierała, wydając na świat ósme dziecko) zdołał na etapie pirenejskim, w nocy w czasie ogromnej burzy, wysunąć się daleko naprzód, zyskując półtorej godziny na czasie. Nikt tej jego ucieczki nie zauważył. Był już zwycięscą biegu... Lecz cóż się dzieje?... Złamany pedał na pustkowiu i cały ten wspaniały wysiłek idzie na marne.





J. MISIEWICZ.

Oszuści na wielką skalę

(Dokończenie.)

Człowiekiem o wybitnej „karjerze" jest bezwzględnie międzynarodowy oszust, Marton. Na szerszą arenę wypłynął na początku 1920 r., w charakterze prokuratora Wojskowego Sądu Najwyższego, przybrawszy w tym celu szarżę podpułkownika i efektowne nazwisko księcia Wołkońskiego. Zapowiedziawszy swój przyjazd do pewnego miasta w woj. łódzkiem telegraficznie, w imieniu Sztabu Generalnego, rzeczywiście zjechał w oznaczonym czasie na miejsce. Przyjęty z odpowiednim ceremonjałem przez garnizon, zrobił szereg inspekcyj w miejscowych oddziałach wojskowych, dokonywał przeglądów, stosownie do okoliczności chwalił, ganił, podawał za wzór do naśladowania, strofował, nie pomijając przytem żadnej okazji do zaciągnięcia pożyczki. Tyle zdziaławszy na polu wojskowem, nawiązał z kolei rzeczy stosunki z okolicznymi ziemianami, którym tak przypadł do serca, że prawie nie było dnia, aby któryś z nich nie wydał dlań wystawnego przyjęcia czy balu. Nie był to jednak człowiek tego rodzaju, który w wirze rozrywek mógłby zapomnieć, co winien swemu stanowisku prokuratora wojskowego. Tedy między jednem przyjęciem a drugiem nie zaniedbywał wpaść do miasta, aby dopatrzywszy się jakiegoś rzekomego nadużycia ze strony tego czy innego dostawcy wojskowego, nie przymknąć go z całą wskazaną w takich razach surowością: w rezultacie pozbawił miłej wolności kilku kupców-hurtowników z Łodzi. Syt chwały, zaszczytów, honorów i brzęczącej monety, zamierzał już wywędrować z miasta (w ubraniu cywilnem), gdy nagle został przez żandarmerję zdemaskowany i aresztowany. Przesiedziawszy za te sprawki 3 lata, już w tydzień po opuszczeniu więzienia wznowił swą „działalność", tym razem w charakterze podprokuratora Mandeckiego, który, nawiasem mówiąc, rzeczywiście urzędował w Sądzie Okręgowym w Łodzi: był to ten sam podprokurator, który, prowadząc oskarżenie na rozprawie sądowej, uzyskał dla Martonia wspomniane już 3 lata. Zaprzyjaźniwszy się w czasie pobytu w więzieniu z towarzyszami niedoli i wydobywszy od nich wiele ciekawych wiadomości, co do sprawek szeregu przestępców, którym udało się, jak dotąd, uniknąć kratek, postanowił to wykorzystać. W tym celu rozpoczął po wyjściu z więzienia objazd posterunków policyjnych, w charakterze podprokuratora Mandeckiego. Mając jeszcze z dawnych czasów większe zaufanie do zapowiadania przyjazdu, niż do ambarasującego legitymowania się na miejscu, uczynił tak i teraz, tym razem w imieniu urzędu prokuratorskiego w Łodzi; zastosował to zresztą tylko w stosunku do pierwszego, upatrzonego posterunku policyjnego, bo następnie już każdy komendant posterunku, powiadomiony przez „prokuratora" mimochodem o najbliższym celu wyjazdu, uważał za swój obowiązek uprzedzić o tem odpowiedniego kolegę. Tak objechał 4 posterunki, zaopatrzony w teczkę, z której wyjmował papiery, pięknie ułożone w okładkach z drukowanym napisem „Akta", które, nawiasem mówiąc, można dostać w każdym sklepie papierniczym. Doskonale obznajmiony, jak już wspominaliśmy, ze sprawkami miejscowych łotrzyków, dokonywał na prawo i lewo aresztowań, oczywiście wcale trafnych, konfiskował rzeczy rzekomo pochodzące z kradzieży, jeśli tylko przedstawiały pokaźniejszą wartość, samych zaś aresztowanych nie zwalniał inczej, jak za dobremi kaucjami. Ponieważ zaś lubował się w robocie dokładnej, przeto nie zaniedbywał przyjętych w tych razach formalności, wypisując decyzje o aresztowaniu, z powołaniem się na zupełnie właściwe artykuły prawa, jako że miał dość sposobności w czasie swej bogatej przeszłości kryminalnej, aby się z niemi wyczerpująco zapoznać. Na zakończenie tak pięknie pomyślanego objazdu obrał pewną wieś pow. sieradzkiego, oddaloną od stacji kolejowej ludności, przygotowała dlań bogaty program przyjęcia. Przeprowadziwszy zwykłą serję aresztowań i zwolnień, Martoń przenocował u proboszcza, poczem nazajutrz, stosownie do ustalonego programu, wysłuchał mszy świętej, zwizytował szkołę powszechną, gdzie z widocznem uradowaniem wysłuchał odśpiewanej przez dzieci, specjalnie na jego cześć podniosłej pieśni powitalnej, przypatrywał się następnie z zainteresowaniem pokazowym ćwiczeniom miejscowej straży ogniowej, od której pod koniec przyjął nawet defiladę. Pożegnawszy wreszcie tę „wieś spokojną, wieś szczęśliwą", został odprowadzony z honorami przez straż ogniową, która wraz z orkiestrą uważała sobie za miły obowiązek asystować mu szmat drogi. Gdy się po jakimś czasie sprawki te wydały i gdy z przebiegu dochodzenia wyłoniło się poważne przypuszczenie, że oszustem jest Martoń, zarządzono poszukiwanie, w wyniku którego ujęto figlarza. I znów spotkał się Martoń z podprokuratorem Mandeckim, który *tym razem* wyjednał dlań od sądu *4 lata* ciężkiego więzienia.



Osiemnastka sprzedana naiwnemu kmiotkowi przez Z. Cynjana. (Patrz Nr. 32).

TO, TAMTO I OWO

TORTURY EPOKI RADJA I SAMOCHODU.

New York, największe obecnie, licząc z przedmieściami, miasto na świecie, poważnie jest zaniepokojony coraz bardziej wzrastającą plagą hałasu wielkomiejskiego.

Miarą jego zaniepokojenia jest wyłonienie przez zarząd miasta obszernej komisji, złożonej z prawników, lekarzy, inżynierów i fizyków, budowniczych i urbanistów — którzy mają naukowo zbadać natężenie, wysokość, pochodzenie i działanie fizjologiczne na organizm ludzki tych niezliczonych krzyków, śpiewów, nawoływań, wrzasków głośników radjowych, gwizdów i ryków syren samochodowych, nie wyłączając „muzyki" jazz-bandowej, — które torturują nerwy mieszkańców.

Podobne studja były przeprowadzone niejednokrotnie już poprzednio przez zarządy wielkich miast, ale pod kątem czynności służby policyjnej. Obecna komisja nowojorska posiada zupełnie inny charakter, traktując zadanie po akademicku, z tem, że potem z orzeczeń komisji będą wyciągnięte wnioski konkretne, prowadzące nie tylko do wydania nowych zarządzeń, ale i do usunięcia plagi hałasów drogą racjonalnych zmian w budownictwie, funkcjonowaniu pewnych maszyn, zabezpieczeniu okien i t. p.

Nie czekając na rezultaty tych badań, wielkie biura amerykańskie na swoją rękę robią próby zabezpieczenia swego personelu od zgubnych skutków hałasu ulicznego, jeśli nie z pobudek humanitarnych, to wychodząc z zasady, że tylko pracownik o spokojnych nerwach może wykazać się wydajnością pracy.

Kilka wielkich firm w nowojorskiej dzielnicy pracy, Down-Town, zaopatrzyło okna na kilkunastu piętrach swych biur w patentowane ochronne aparaty, które, wpuszczając powietrze, eliminują jednocześnie hałasy, dochodzące od zewnątrz.

Jedno zaś z największych towarzystw asekuracyjnych, które niedawno wybudowało własny drapacz, kazało wszystkie pokoje do pracy izolować, podobnie jak sufity, za pomocą specjalnych warstw wojłoku preparowanego, do stłumienia nawet hałasu wewnętrznego, pochodzącego od maszyn do pisania i liczenia.

Dokładne działanie nieskoordynowanych i ostrych dźwięków na zdrowie ludzkie nie jest jeszcze dokładnie znane, ale wiadomo jest, że ludzie nerwowi cierpią w tych wypadkach szczególnie.

U ludzi skądinąd zdrowych może rozwinąć się łatwo choroba nerwowa na tle ustawicznych podrażnień akustycznych. Już teraz można stwierdzić bez przesady, że podobny stan rzeczy obniża średnią granicę długowieczności „pacjentów" i zmniejsza ich odporność na inne choroby.

Tyle Nowy Jork...

Czy nie możnaby przypadkiem w imię nauki, zaprosić uczoną komisję nowojorską do Warszawy, aby zobaczyli to, czego nie ujrzą nawet w swojej metropolji? Choćby katusze warszawskiego podwórka z jego nigdy nie milknącą kakofonją (trzepanie *p. compromis)*, no, a potem choćby „podgazowanych" szoferów, którzy, nacisnąwszy trąbkę na placu Teatralnym, z szykiem dojeżdżają, nie zdejmując z niej ręki, do Zbawiciela...

Z. K.



W Indjach nastąpiło pewne uspokojenie. Ghandi zamyśla pertraktować z rządem brytyjskim.

Wśród książek

Artur Górski: „Glossy o ludziach i ideach". (Dom Książki Polskiej, Warszawa, 1930).

Artur Górski znany jest każdemu kulturalnemu polakowi z cennych rozpraw historyczno-literackich, jak również pedagogicznych. „Ronswald" i „Ku czemu Polska szła" wywalczyły autorowi pierwsze miejsce w naszej cywilizacji, zwłaszcza w czasach walk niepodległościowych. Ostatnie w tytule wymienione dzieło Artura Górskiego jest zbiorową pracą, składającą się z poszczególnych cennych rozprawek z zakresu historji, literatury i kultury w ogólności. Znajdzie tam czytelnik obok przyczynków literackich i filozoficznych, zagadnienia społeczne, jak „Narodziny Słowa", „Rzeczpospolita wieczna", „Boże Narodzenie chleba", „Polski rewizjonizm w socjaliźmie", „Dwie sprawiedliwości", „Synteza współczesności" i t. d.

Owe artykuły, które stanowią pewną syntetyczną całość, mają wielkie znaczenie kulturalne, przedewszystkiem umieszczony w tym zbiorze „list do nauczyciela w sprawie szkoły antyreligijnej", który swego czasu wśród nauczycielstwa i całego świata pedagogicznego wywarł olbrzymie wrażenie. Niektóre kluby polityczne komentowały z wielkim pietyzmem poglądy Artura Górskiego na sprawy wychowawcze młodego pokolenia. Styl i forma proste, jasne i zwięzłe, treść z natury rzeczy interesująca może z góry zaciekawić czytelnika. „Glossy" Górskiego powinien przeczytać każdy humanista, gdyż tam dla niego jest ciekawy, nowy materjał przez autora zebrany.

JULJUSZ GERMAN: „Jackowa dola"
(„Rój", 1930).

Autor „Iwonki" ma już swoje miejsce w literaturze polskiej. Czyta go pensjonarka, czyta go dorosła matrona, czyta go wreszcie każdy, bo cóż jest piękniejszego od „Gwiaździstej nocy"? od „Skrzydeł"? albo od „Historji o pajacach"? Urok, przepiękne pejzaże natury, wreszcie samo życie, zamiast czytelnika gnębić, jak to wogóle bywa w współczesnych powieściach, uśmiecha się do czytelnika. Ostatnia powieść J. Germana oparta jest na historji Polaka we Włoszech, który, tęskniąc za ojczystemi łanami, kochał wszystko, co polskie. Jacek Kaszymowski był indywidualistą, dlatego miłość do kobiety była dla niego świętością. Dolą nazywa German życie, które człowiekowi, zwłaszcza idealiście, płata figle. Powieść Germana czyta się z wielkiem zainteresowaniem.

Mili Czytelnicy!...

Przebywając na letnich wywczasach w różnych zakątkach kraju i zagranicy, z pewnością fotografujecie. Chcemy Was poznać, chcemy nawiązać z Wami kontakt, żyć Waszem życiem, radować się Waszem szczęściem. Nadsyłajcie fotografje, które w miarę możności zamieszczać będziemy na naszych łamach. No, a jeśli ktokolwiek dopisze feljetonik — oczywiście, że dobry — znajdzie również gościnę w naszem piśmie.

REDAKCJA.



Łuk Augusta, wznoszący się w pobliżu historycznego Rubikonu. (fot. ENIT)

Plaże nad Adrjatykiem

I. Rimini

Rimini jest zwykłem sobie miasteczkiem prowincjonalnem, nie wiele różniącem się od zwykłych takich miasteczek w Europie, z tą tylko różnicą, że, jak to bywa we Włoszech, a nigdzie na świecie, co krok wyrasta ci niespodzianka po drodze: to jakieś arcydzieło budownictwa, rzeźby, lub malarstwa, to zabytek, liczący sobie dwa tysiące wiosen i upamiętniający najwspanialsze fakty dziejowe. Takim właśnie pomnikiem, wystawionym ku chwale Imperatora Augusta jest łuk, zwany Arco Augusta, obok którego stoi most Tyberjusza, a jeszcze dalej wyschły potok, historyczny Rubikon. W odległości niespełna kilometra jest morze Adrjatyckie. Plaża Rimini jest jedna z najpiękniejszych, jakie znam we Włoszech. Długa, nie kończy się chyba, sięga może aż poza Anconę, aż na kraniec buta italskiego. Bez żartów, w obie strony nie widać jej końca. Piasek ma mięciutki, żółciutki, pokarbowany w równe, koliste wzgóreczki, dzięki temu zapewne, że tutaj działa przypływ i odpływ.

Jeszcze przed niewielu laty była to dość bezpretensjonalna miejscowość kąpielowa. Dziś, jak wszystko we Włoszech, nabrała rozmachu i rozwija się błyskawicznie. Pod skrzydłami jej wyrosły różne pomniejsze „bady“: Riccione, Cattolica i t. d. Samo Rimini stało się modną i elegancką plażą, ściągając co lato najlepsze towarzystwo włoskie i zagraniczne. Kąpiele — cóż mówić o kąpielach? Jak wszędzie, tak i tutaj, barwią się kostjumy na morzu i gumowe, pływające potwory. Jak wszędzie podczas wakacji, rozbrzmiewa wesoły śmiech, połączony z nurkowaniem i koziołkowaniem na wodzie i z temu podobnemi, bardziej lub mniej niewinnemi uciechami...

Zaznaczam jeszcze, że stąd urządzają się wycieczki do pobliskiej Rawenny, ojczyzny Franceski, grobu Danta i siedliska najprzecudniejszych mozajk gotyckich, oraz do nieco dalszego Urbino, miejsca urodzenia Rafaela. Opodal zaś leży minjaturowa, operetkowa rzeczpospolita — San Marino.

Marion.

Sierpień, 1930.



Na plaży w Rimini... (fot. ENIT)

„7 DNI“ WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE.
Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Chmielna 35.
Telefon 525-85. Konto P. K. O. 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy.
Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty, są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe
Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA“ S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska“, Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 117-98 i 504-46.